

Opłata pocztowa wliczona w cenę.

Wies

TYGODNIK SPOŁECZNO-LITERACKI

Rok VI

Łódź, 3 kwietnia 1949 r.

Nr 14 (193)

Dyzma Gałaj

ŁUDZIE, KTÓRZY BUDUJĄ POKÓJ...

(Notatki z wędrówek po kolchozach na Radzieckiej Ukrainie)

1. BOLSZEWICKI POJEDYNEK

Po oficjalnych przemówieniach i toastach nastąpiło bezpośrednie poznanie się uczestników bankietu. Najżywiej realizował przyjaźń stół, przy którym umiejscowili się kolchoźnicy — przodownicy pracy. Stamtąd też najwcześniej wybuchł śpiew. Sekretarz C. K. Partii Ukrainy Radzieckiej Chruszczow, minister rolnictwa Mackiewicz i delegat Ukrainy do ONZ Manuiliński otoczeni kolchoźnikami (w tej chwili zresztą już i naszymi chłopami) śpiewają jak „swoi” — z kolchozu. Również dwie sławne artystki — śpiewaczki świetnie „zrównały się” z głosami amatorów. Nasz chłop także próbuje swojego repertuaru. Chruszczow śmieje się do 68-letniej bohaterki pracy, Marii Chobty i mówi nam o ukraińskich kolchoźnikach, o radzieckich ludziach. Koś z naszych rozmawia z Marią Deniczenko, przodownicą, która osiągnęła najwyższy urodzaj buraka ćwikłowego. Do rozmowy włączają się inni. Przeplatają się słowa: hektar, kwintale, pudy, chleb, traktor, kolchoz, brygadier. Najślawniejszy traktorzysta Ukrainy, Gitałow, wznosi toast — za technikę! Rzeźka, pełna werwy i niezrównanego dowcipu, sławna „babuszka” — Maria Chobta wzywa publicznie Gitałowa na pojedynek. Przyjmuje zakład, że w swojej specjalności (produkcja kukurydzy) osiągnie wyższy procent niż on w orce traktorem. Mała, rozpromieniona, chuda, biała starszka z jednej strony i atletyczna, czarna, młoda bohater — traktorzysta z drugiej wypowiadają sobie pojedynek. Spotykają się ich ręce — ręce budowniczych socjalizmu. Okrzyki, oklaski.

Poznajemy przodowniczkę kolchozu Irenę Bochacziuk, oraz sławnego przewodniczącego, najbogatszego kolchozu im. „Zdobycy Październikowej”, Dubkowieckiego. 19-letni kolchoźnik Sierioża Gołopaz, członek C. K. Komsomolu Ukrainy, tłumaczy mi, że cała komsomolska młodzież swoją działalnością gruntuje rewolucyjne zdobycze. To samo czyni i on, to samo robił jego ojciec — dawny dziedzicowski fernal, zabity w czasie ostatniej wojny przez Niemców — partyzant.

Chłopi nasi długo nie milkną po okrzykach na cześć Partii Komunistycznej i Stalina.

Tańczono jeszcze po północy. Nasze hohubce i oberkowe przytupy zdobyły uznanie. Ale o dorównaniu parze 19-letniego Sierioży Gołopaza i 68-letniej Marii Chobty, tańczących zawiadackiego kozaka, nikt nie marzył. Patrząc na tancerkę pytałmy siebie, od których lat rozpoczyna się starość u ukraińskich kolchoźnic.

2. LICZBY W KOLCHOZACH

Kolchoz im. Budiennego. Rejon berezowski, niedaleko Odessy. Szerokie pola pocięte pasami drzew, utrzymujących wilgoć i chroniących zboża przed wiatrami. Murowane, foremne, przeważnie czteropokojowe domki, pokryte czapami śniegu. W stronę naszych ciężarówek biegną uśmiechy i przyjazne powitania mieszkańców kolchozu. Przed domem ludowym gromada ludzi. Chleb i sól. W kilkunastu słowach powitania serdeczność i prostota. W sali klubu przewodniczący kolchozu, Posmitnyj, mówi o kolchozie. Ziemi ornej 1600 ha. Zdolnych do pracy 246 osób. Ponadto w okresie wakacji pracuje 45 uczniów. Przeciętnie w roku wypada 414 pracodni na osobę. Pracodzień oblicza się na podstawie wykonanej pracy. Zdarza się, że przy trudnej, ale dobrze wykonanej pracy kolchoźnik ma zaliczone 3, a nawet 4 pracodni w ciągu dnia. Personel administracyjno-techniczny stanowią: buchalter, zastępca, kucharka, kasjer i 2 magazynierów. Kolchoz posiada 68 koni roboczych i 75 wołów. 58 procent orki wykonały traktory z miejscowej motorowo-traktorowej stacji. 270 sztuk świń, 1000 sztuk bydła rogatego, 172 tys. pudów ogólnego sprzętu zboża, 70 tys. pudów odstaw dla państwa, 102 tys. pracodni w roku, 1212 litrów mleka ponad plan w ciągu roku, ponad 1 milion rubli czystego dochodu. Cena pracodnia — 3 kg pszenicy, 1700 g kukurydzy, 1 kg kartofli, 550 g słonecznika, 4 kg paszy dla własnego inwentarza i 10 rubli gotówką. Oczywiście każdy pracodzień uzyskany ponad normę jest premiiowany. I tak np. świnia Kwaśniak i jego żona (oboje ponad 60 lat) wypracowali w ciągu roku 1186 pra-

*) Na przyjęcie wycieczki polskich chłopów ze ZSCh.

codni. Ich zarobek wynosi: 35,59 q pszenicy, 10,40 q kukurydzy, 657 kg słonecznika, 11,86 q kartofli, pasza dla bydła i 11860 rubli gotówką. Traktorzysta Pucienow Iwan wyrobił 1141 pracodni. Otrzymał 43,23 q pszenicy, 19,40 q kukurydzy, 1227 kg słonecznika, 11,41 q kartofli i 11410 rubli. Sam Posmitnyj oceniony został na 2340 pracodni, co przyniosło mu 154 q pszenicy i 34 tys. rubli, nie licząc innych. Brygada Iwana Czerniaka na obszarze 83 ha zebrała po 31 q z hektara pszenicy. W kolchozie jest pasieka, hodowla drobiu, owiec. Kolchoz ma własną elektrownię, sad, winnicę, młyn. Jest szkoła, dzieci-

niec, szpitalik. Z kolchozu wyszło 2 inżynierów, 7 nauczycieli, 3 agronomów, 4 oficerów Armii Radzieckiej, 3 lekarzy i 7 innych fachowców. 32 osoby zginęły w czasie ostatniej wojny.

Kolchoz ten jest uważany na Ukrainie za dobry. Ale są bogatsze. Kolchoz im. Liebknechta (787 ha obszaru) specjalizuje się w uprawie winogron. W ostatnim roku uzyskał 4 miliony 10 tys. rubli dochodu. Pracodzień wynosi tutaj: 2 kg pszenicy, 1,6 kg warzyw, 0,5 kg kartofli, 0,8 kg winogron i 22 rubli gotówką (zarobki lekarzy, nauczycieli wynoszą ok. 1000 rubli miesięcznie). Rodzina Rybaka

Józefa wypracowała 1443 pracodni, za co uzyskała: 34,39 q pszenicy, 26,02 q warzyw, 7,21 q kartofli, 1352 l wina i 31746 rubli gotówką.

3. ROZMOWY W KOLCHOZACH

W każdym kolchozie spotykamy się najpierw z liczbami, z dumą producentów, wybiegających ponad normę i wrażeniem, że śpieszy im się rozpocząć wyścig w następnym roku. Wszędzie ogromne, jasne, czyste obory, stajnie, chlewnie, elektryczność, białe fartuchy dojarek. Od przewodniczącego wędrujemy do agronoma, potem nauczyciela, który oddaje nas lekarzowi. Zaglądamy w każdy kąt.

Wchodzimy do domu świnia Kwaśniaka. Przedsiónek, spizarka, kuchnia, pokój, piec, dwa łóżka pełne ponętnie białych, obfitych poduszek, stół, stolik, piec, chodniczki, kolorowe tapety, firanki, radioaparat, telefon. Dwoje gospodarzy. Kwaśniak rusza obfitymi wąsami i sadza nas za stołem. Kwaśniakowa pełna uśmiechów. Zjawia się na stole wino. Chleb biały i wędlina. Jemy. Pijemy za przyjaźń.

Pytam Kwaśniaków, dlaczego jeszcze pracują. Należy im się opieka. Starzy już są. Przecież kobiety po 55-tym, a mężczyźni po 60-tym roku życia żyją z funduszu społecznego kolchozu.

— Jakżeż nie pracować — mówi Kwaśniak — od 12 lat bije się o pierwsze miejsce, święnie idą coraz lepiej, zdrowy jestem, wesół. Po chwili dopowiada presto i ostatecznie — jestem odznaczony orderem Lenina...

Do izby wchodzi dwóch młodzieńców. Jeden jest bratanikiem Kwaśniaka, a z zawodu mechanikiem. Drugi pracuje w brygadzie polowej. Obydwaj od 16 roku życia są statutowo członkami kolchozu. Zarabiają samodzielnie. Obydwaj są komsomolcami. Bratanek pyta nas o Rzeszów. Dostał tam jesienią 1944 roku od Niemców kulę w brzuch.

Powiedzcie mi o waszych bohaterach pracy. Czy znacie kogoś z innych województw? — pytałem, ciekawy jak daleko wybiegają ich zainteresowania poza własną okolicę.

Komsomolec patrzy na mnie dziwnie, uśmiecha się i mówi wreszcie — czyż można nie znać Dubkowieckiego, Marka Oziernego, który bije wszystkie rekordy w uprawie kukurydzy, traktorzysty Gitałowa i Paszy Angeliny? Maria Szewczenko z kolchozu „Czerwona Zorza” wydała po 6183 litry mleka od każdej krowy, Fastowa z „Komuny Paryskiej” osiągnęła 636 q buraka cukrowego z 1 ha. W kolchozie im. Iljicza Ogniwowa Eudoksja Zaozerna zebrała po 42 q pszenicy z hektara. Większość z nich to komsomolecy. Liczyć Wam jeszcze? W naszym kolchozie 12 osób uzyskało tytuł bohatera pracy, a 47 jest obecnie przedstawionych do odznaczenia. To samo spotkacie w kolchozie „Komuny Paryskiej”, „Lenina”, „Stalina”, „Liebknechta”, „Zdobycy Października”, „Czkałowa”, „Ziemie krasnych partyzantów” i wszędzie.

W dwa dni później, na baliecie w przepięknym teatrze-opery w Odessie w czasie przerwy oglądaliśmy na ścianach korytarzy i palarni foty przodowników sztuki i rolnictwa. Artysty i artystki obok traktorzystów, ogrodników, świnia, dojarek. Prosiłmy przysiadów sąsiadów o objaśnienia, kto zacy na tym, a kto na tamym portrecie. Po sposobie informowania nas trudno było wyprowadzić wniosek, kto tu komu sprawiał zaszczyt, czy artyści traktorystom, czy dojarki artystkom. Najbardziej zapalił się do wyjaśnień młodzi marynarze — uczniowie oficerskiej szkoły w Odessie. Na przodownikach pracy znali się nie gorzej niż Kwaśniak siostrzenice, a o kolchozach odeskich, o ich życiu mówili ze znanstwem kolchoźnika. Oto kraj, gdzie marynarz mówi o mleku, świnia i uprawie kukurydzy, traktorzysta prowadzi 40-osobową orkiestrę, a komsomolka kolchoźnica analizuje krytycznie Fadiejewa „Młodą Gwardię” jak zawodowy krytyk.

4. NAUKA NARZĘDZIEM WSZYSTKICH

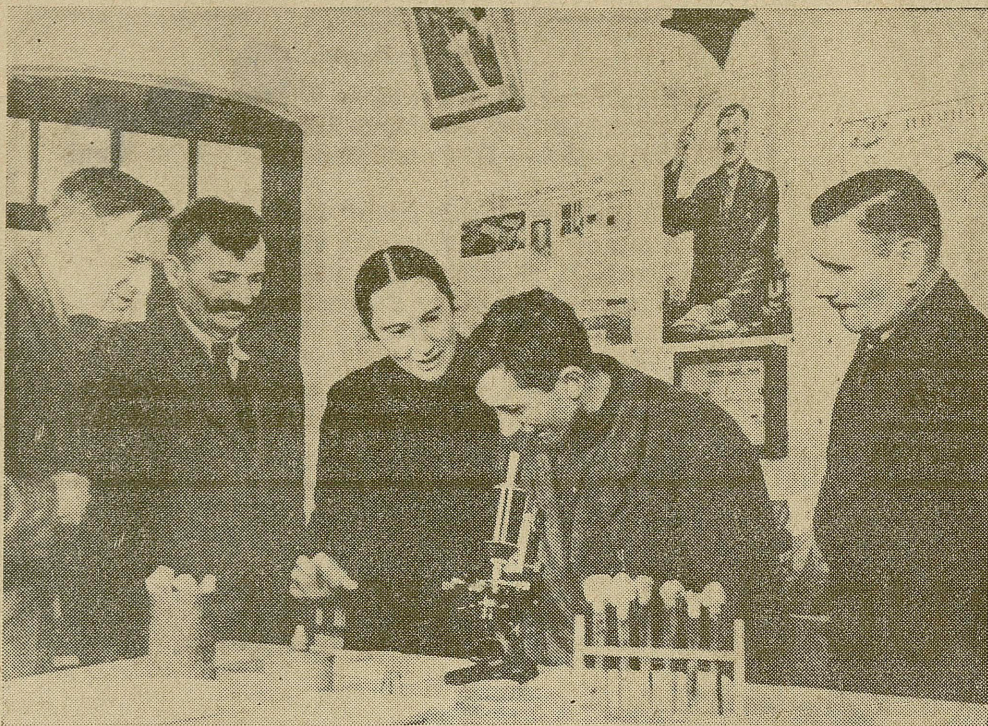
Pytani o drogę dojścia do tak wysokich osiągnięć gospodarczych i społecznych — gospodarze uśmiechają się i mówią — popatrzcie jeszcze, a pojmiecie. Oprawdzają nas po świączkach, oborach, chlewniach, przetwórnich. Pokazują własne krowy, świnie, kury, nie będące wspólną własnością kolchozu. Pokazują ziarno, kartofle. Agronom prezentuje wreszcie chatę — laboratorium. Zaczynamy rozumieć — oto np. w badaniach



Sprawdzanie orki



Nowe ziarno



Delegaci chłopów polskich zwiedzają Wesołopodolańską Stację Selekcyjną

prowadzonych przez słynnego akademika Łysenkę nad wyprowadzeniem odpowiedniego do glebowych i klimatycznych warunków gatunku bawełny wzięło udział 20 tysięcy takich chat-laboratoriów, 20 tysięcy kołchozów. Cóż to znaczy? Znaczy to, że nauka płynie szerokim frontem od laboratorium uczonego Akademika do każdego kołchozu, od próbki, doniczki, cieplarni, do szerokich pól Ukrainy, od Łysenki do dziesiątków tysięcy agronomów — asystentów uczonego, pracujących w kołchozowych laboratoriach, do setek tysięcy praktyków uformowanych przez tę naukę.

Nauka nie jest własnością profesorów. Rozbiła ściany ich gabinetów i weszła uspołeczniona, umasowiona w działalność praktyczną.

Z kolei od lat stąd, z tysięcy kołchozów szturmują osiągnięciami i postreżeniami do wrót instytutów naukowych, aby tam ją „oprawiono” w książkę. Spotkasz się zatem z nią wszędzie. W rozmowach na polu, w śpichrzu, oborze, kurniku, chlewie, ogrodzie, młynie, szkole, przedszkolu, kuchni, w domu ludowym. Wszędzie widzisz plan, celowość, wszędzie wiedzą co, dlaczego i jak to robić. Agronom, weterynarz, lekarz, nauczyciel, brygadier, ogrodnik, traktorzysta, ogrodnik, masy kołchoźników wyciskają z przyrody wszystko. Gwałtem utrzymują w ziemi wilgoć, wstrzymują wiatry, ujarzmiają rzeki, zamieniając ich siłę w energię elektryczną, produkując nieistniejące dotychczas gatunki zwierząt i roślin. Rezultaty tego powiązania teorii z praktyką są oczywiście niebywałe. Produkcja rolna odbywa się po masowych próbach i już bez żadnego ryzyka. Dawna nieśmiałość i bezradność człowieka wobec tajemnic przyrody ustąpiła miejsca pewnością, że musi ona służyć ludziom. Przeciwnie nie wystąpił bowiem rozum, a nie magiczne zabiegi. Rozum zatrzymał Dniepr, zarzucił Ukrainę maszynami, prostując ciężko spracowane, chłopskie płuca. Teoria kieruje praktyką, praktyka bogaci i ośmiela teorię. Michurin i Łysenko rozbili przyrodę. Nauka radziecka jest sucha.

Prawo Liebige'a o malejącej wydajności gleby i depresyjna teoria Malthusa znajdują oczywiste zaprzeczenie na każdym kroku. Kołchoźnicy mają pewność, że w każdym następnym roku osiągną coraz wyższe rezultaty. Nie ma sił ograniczających te osiągnięcia. Nie ma, jak się przypomniało, że źródłem społecznego rozwoju nauki, jej praktyki i entuzjastycznej pracy jest nowy ustrój.

5. KOŁCHOZ JEST CZĘŚCIĄ CAŁEJ UKRAINY

Po zwiedzeniu instytutu selekcyjno-genetycznego im. Łysenki w Odessie, po zapoznaniu się ze szkolnictwem rolniczym wszelkich stopni, po rozmowach z ludźmi zainteresowanymi produkcją rolną, a pamiętającymi w tym procesie najróżnorodniejsze funkcje zrozumieliśmy dynamikę tej działalności. Jasne, że świnia Kwaśniak, czy oginiowa Maria Chobta nie zatrzymują się w połowie drogi. Tutaj bowiem nie chodzi o własny interes ekonomiczny. Im chodzi o Ukrainę, o Związek Radziecki, o chleb dla głodnych całego świata. Na ich polach, w ich oborach i chlewniach przetworzył się świat wyzysku w świat rozumu, swobody i dobrobytu. Świat ten, jego porządek, urzeka ich, choćby nie zdawali sobie czasem z tego sprawy. Gdy w którymś naszym przemówieniu kołchoźnicy usłyszeli słowa swej piosenki, że „my nie znamy takich stron, gdzie tak wolnym żyje człowiek” wybuchnęli grmiącą radością, gdyż czują się właśnie wyjątkowymi ludźmi, przez to, co czynią, co w okęgach świata budzić może u mas ludowych wielu, wielu narodów nadzieję na nowe, lepsze życie.

W bitwie o wyniki, o wysokie plony, wszyscy starzy i młodzi są w tej samej armii i jednakowo wykonują celową robotę. Jedną i tą samą jest bowiem dla nich Ukraina, jedna i ta sama ziemia, ta sama nauka kieruje wszystkimi i ta sama idea socjalizmu pobudza do pracy i miłości dla ziemi ojczystej, narodu, Związku Republik i nauki, jako siły i narzędzia spełnienia tych wielkich zadań dla kraju i świata.

Czy kołchoz im. Budiennego, Komuny Pańskiej, Szowczenki, Kirowa znajduje się w

rejonie X czy Y, to jest zupełnie obojętne. Dał się bowiem poznać nie przez geograficzne położenie, a przez wzmoczoną działalność, przez sprawność produkcyjną. Stoi u szczytu rolnictwa Ukrainy. W produkującej, rolniczej Ukrainie, zapewnionej socyzmami i kołchozami, każdy z nich stanowi jednostkę nie odizolowaną od reszty, ale przez różnorodność, bogactwo stosunków, przez ogólnopństwowy plan gospodarczy, przez selekcyjną ziarno, stacje traktorowo-maszynowe, elektryczność, radio, kursy, szkoły, przez zwycięskie osiągnięcia gospodarcze jest najściślej z innymi jednostkami powiązany. Tworząc całość jest jednocześnie jej częścią. A działaniem musi usprawiedliwić przyjęte przez kołchoz imię. Kołchoz „Zdobyc Października” nazywał się początkowo „Ul i Pszczola”, ale jego olbrzymie osiągnięcia nakazały przyjąć odpowiednią do rzeczywistego rozwoju nazwę. I dlatego wśród kołchoźników wiadomo, że pewien kołchoz wyprzedził inne np. w hodowli świń. Wiadomo wtedy, co zrobił, wiadomo o ile wyprzedził, wiadomo jakim jest wzorem. Leży on w wymiarze ekonomicznego i socjalistycznego wzrostu narodu, a nie w administracyjno-geograficznej przestrzeni.

Ta atmosfera tworzy kołchozowego człowieka, tworzy oczywiście i jego stosunek do pracy. To tłumaczy postępowanie Kwaśniaka, Chobty i tysięcy im podobnych, to tłumaczy nam powiedzenie jednego z kołchoźników: „Przy zakładaniu waszych spółdzielni produkcyjnych organizujcie najpierw bazę produkcyjną, a potem dopiero myślcie o interesach poszczególnych jednostek, bo tylko w ten sposób dojdziecie do dobrobytu i spółdzielni, i jednostek”. Oni tak czynią istotnie.

Ta „baza produkcyjna”, to baza socjalizmu, baza całości społecznej wsi, baza humanizmu socjalistycznego: życie dla wszystkich, praca wszystkich dla wszystkich!

6. PRZYSZŁOŚĆ, JAKIEJ PRAGNIEMY

Słowa prostego kołchoźnika, w których przecie brzmi echo prawdy historycznej wprowadzanej w życie przed laty przez Lenina i Stalina, przypominają Marksę, który w „18 Brumaire’a” tak pisał o chłopstwie francuskim z połowy dziewiętnastego wieku:

„Drobni chłopci stanowią olbrzymią masę, której członkowie żyją w jednakowych warunkach, nie wchodząc jednak w różnorodne stosunki ze sobą. Ich sposób produkcji izoluje ich od siebie, miast wytworzyć wzajemne stosunki między nimi. Ich teren produkcji, parcela, nie pozwala na podział pracy przy jej uprawie, nie pozwala na stosowanie nauki, a więc na wielostronność rozwoju, różnorodność talentów, bogactwo stosunków społecznych. Każda poszczególna rodzina chłopska wystarcza niemal sama sobie, sama bezpośrednio produkuje większą część tego, co spożywa, zdobywa więc środki do życia raczej przez wymianę z przyrodą aniżeli przez sto-

Mieczysława Buczkówna MONOLOG

Ciemne niebo — zgasło.
Zimna woda — ostygła,
liście przylgnęły do ziemi,
kwiaty opadły — zasnęły.
Cmentarz milczącej jesieni;
gwiazdami niebo szeleści,
deszcze płyną drobniutko,
wiatr rozrywa noc z szumem.
Ocal, ocal swe serce.
O nieulekły, uśmiechnięty
każdą minutą sprzedajesz się śmierci,
ciemne twoje oczy — zgasły
zimne usta — ostygły
twarz przylgnęła do ziemi
ręce opadły — usnęły
na cmentarzu milczącej jesieni
głośno uderza twe serce.
Gwiazdami niebo szeleści
deszcze płyną drobniutko
wiatr rozrywa noc z szumem
ocal, ocal swe serce.

Miroslaw Ochocki

KOMENTARZ DO WIERSZA

Jesteś milczeniem milczeń. Jesteś,
Gdy życie wschodzi — gdy zachodzi
Daremne życie —

I gdy co dzień

Co noc odchodzę — pod noc, w przestrzeń
Za którą nikniesz. Z lampą staję
W rozwartych drzwiach dni, lat. Tak stają
Za moim cieniem wielkie miasta
Rzucając przez me ramie blask
Odbity w płytkiej wodzie, w gwiazdach —
I w wierszu, gdy w mrok okien wchodzi
Jak brząsk.

PODRÓŻE

Gdy tonie dzień — gdy stół jak brzeg
Niknie w ciemności, gdy w zgarbionym
Blasku krwi mojej tają szyby —

W jakich to zimach trwasz! zgubiony
Za jakim zmierzchem — i z snem w dłoni
Wśród jakich nocy krąży? Śnieg
Płynie przez światło ręki. Żywy
Jestem tam jeszcze — pod milczeniem
Wojen. Powracam — ich przestronie
Odmierzam biciem serca. Śnieg
Zasnuwa światło dłoni, żreń
Otwartych w ciemność.

Z zatopionych

Wiosen, jak światło — wyrasta
Pod świtem najcichsze miasto.
Stajesz — i w pamięć jak w odzież
Podróżną szczerze spowity —
Słuchasz, jak w chłodnych mgłach świtu
Rozbrzmiewa pogodne morze.

sunki ze społeczeństwem. Parcela, chłop i rodzina, obok inna parcela, inny chłop, i inna rodzina. Kopa tego stanowi wieś, a kopa wsi jest departamentem. W ten sposób podstawowa masa narodu francuskiego tworzy się przez zwykłe dodawanie jednoimiennych wielkości, tak mniej więcej jak worek z kartoflami stanowi w sumie worek kartofli.” (18 Brumaire’a str. 129).

U Marksa jest opis i krytyka. Parcela nie pozwala na podział pracy, na stworzenie nauki, a więc na wielostronność rozwoju, różnorodność talentów, bogactwo stosunków społecznych. Izoluje jednostki społecznie. Z takiego my wychodzimy ustroju, z takiego systemu. Goszcząc na ziemi radzieckiej oglądamy dokonane, żyjące i rozwijające się to historyczne rewolucyjne przejście. I przy-

byliśmy tu ujrzyć życie, potwierdzić nim krytykę Marksa sprzed stu lat. A bardziej może z samego życia wziąć jego mądrość praktyczną, jego praktyczne wzory, wziąć entuzjazm samego życia.

W kołchozie im. K. Liebknechta, leżącym o kilkanaście kilometrów od Odessy, pytałem miejscowego agronoma o różnice między ludźmi miasta i wsi. Jakie różnice? Dzielniejsza — kołchoźnica zwyciężanie i bez najmniejszej żenady mówi nam o swoim kołchozowym życiu. U chłopaka ani śladu nieśmiałości. Patrząc na ich zachowanie widać, że wszelkie kompleksy, którymi historia obciążała poddanych panom chłopów zostały gruntownie, jak ostry, wyniszczony. Chciałoby się rzec, że jest to produkt techniki. Oczywiście techniki, wyrastającej w socjalizmie i tworzącej socjalizm, techniki w służbie społecznej, uspołeczniającej aktywność jednostek. Agronom, mówiąc o braku różnic między ludźmi wsi i miasta, wskazywał na nowe zawody techniczne na wsi, na specjalizację w uprawach, hodowli, która daje wykwalfikowanego pracownika, a w związku z tym wysoką produkcję. Jej konsekwencją jest powszechny szacunek dla producenta.

I dlatego świnia, dojarka, artystka, uczone i dostojnik państwowy są tą samą kategorią ludzi — obywateli. Są oni jednakowo godni uznania i jednakowy istnieje do nich stosunek. Przekreślona zostaje różnica między pracownikiem umysłowym i fizycznym. Awansem społecznym jest nie przejście do innej grupy zawodowo-społecznej, ale uzyskanie przodownictwa w ramach wykonywanego zawodu. Czyli pozycję daje nie przynależność do jakiegoś zawodu, a jakość wykonywanej w zawodzie pracy.

Gdybym miał krótko powiedzieć, co widziałem na Ukrainie — powiedziałbym, że socjalizm. Widziałem dziecko socjalizmu: budowany z entuzjazmem pokój dla ludzkości. Widziałem bowiem budujący pokój między ludźmi i dla ludzi, w gromadzie, rejonie, republice, w Związku Radzieckim. A stąd ten pokój, ten wzór pokoju promieniuje na świat.

Dyzma Gałą



Angelina uczy młode kołchoźnice fachu traktorzystek...

Marta Żmijewska

Drobnomieszczańska deformacja socjalistycznej wiedzy o kulturze

W 1948 r. pojawiła się nakładem berlińskiego wydawnictwa książka Georga Lukacsa „Karl Marks und Friedrich Engels als Literaturhistoriker” — („Karl Marks i Fryderyk Engels jako historycy literatury”). Książka zawiera cztery szkice, napisane w okresie dwudziestolecia międzywojennego („Dyskusja o „Sickingenie” między Marksem-Engelsem a Lassalle’em”, 1931; „Fryderyk Engels jako teoretyk literatury i krytyk literacki”, 1935; „Marks i problem schyłku ideologii”, 1938; „Trybun ludowy czy biurokrata”, 1940). Tytuł publikacji, który zdaje się zapowiadać pracę, kodyfikującą teorię literatury i praktykę krytyki literackiej klasyków marksizmu, nie odpowiada zawartości książki. Nowa publikacja Lukacsa jest raczej zbiorem szkiców, traktujących o schyłku ideologicznym mieszczaństwa europejskiego. Problem ten wysunął się na plan pierwszy w rozważaniach Lukacsa nad specjalnymi zagadnieniami historyczno-literackiej spuścizny klasyków.

Wydanie w formie książkowej czterech oddzielnych czasowo i tematycznie prac Lukacsa nie zostało podyktowane wyłącznie wymogami księgarskiego rynku Niemiec, na którym panuje stale zapotrzebowanie na prace z zakresu teorii i historii marksizmu. W dużej mierze musiała tu odegrać rolę sytuacja ideologiczna niemieckiego ruchu socjalistycznego. Niemiecka socjaldemokracja rozwijała się stale w warunkach, grozących całkowitą „Verbürgerlichung”, drobnomieszczańskim sfilistризowaniem. Współczesna niemiecka SED nie może lekceważyć doświadczeń starej socjaldemokracji. Dzieje niemieckiego socjalizmu kształtowały się w rozpaczy walce z naporem drobnomieszczaństwa, które podmywało ruch robotniczy, wytwarzając szereg wstecznych tendencji, sprowadzających ruch na manowce ideologiczne. „Prawdziwy socjalizm” sprzed r. 48, drobnomieszczańskie próby wykorzystania frazeologii socjalistycznej dla obrony własnych interesów klasowych, lassallizm, który w idealistycznym klucze państwa wyładował na oportunistycznym sojuszu z Bismarckiem, rewizjonizm Bernsteina, ideologiczny odpowiednik politycznego reformizmu z okresu II Międzynarodówki, nacjonalistyczny solidaryzm socjaldemokracji niemieckiej, głoszącej w r. 1914 za kredytami wojennymi — oto jaskrawe, choć nie jedyne etapy klęsk ideologicznych niemieckiego socjalizmu. Ideologiczny nacisk drobnomieszczaństwa zabagnił partię na długie lata i stał się przyczyną jej bezsilności w walce z faszyzmem. W tych warunkach podwójnie celowe staje się wydanie studiów Lukacsa, rozpatrujących zagadnienie schyłku ideologii mieszczańskiej oraz oddziaływania drobnomieszczaństwa na kulturę proletariatu.

Studia Lukacsa powstały w latach 1931—1940, w latach krzepnącego faszyzmu, ostatniej, przedśmiertnej maski zagrożonej burżuazji. Lukacs rozpatrywał w swych szkicach zagadnienie przeszłości kulturalnej mieszczaństwa i cech współczesnej kultury burżuazji; sięgając do prac klasyków sprawował praktycznie historyczną słusność marksistowskiej analizy historycznych.

Wyraża polityczność, polemiczny, antymieszczański sens każdego artykułu nadają książkę praktyczną życiową aktualność, budzą czujność wobec stałego niebezpieczeństwa, grożącego kulturze proletariackiej ze strony żywiołów drobnomieszczańskich, próbujących wciąż narzucić ruchowi swą oportunistyczną ideologię.

Zagadnienie kultury proletariatu i mieszczaństwa jako dwóch zwalczających się ideologii, stanowi o kompozycyjną książkę.

Dyskusja Marksa i Engelsa z Lassallem nad jego tragedią o Sickingenie stanowi najbardziej wyczerpujące sformułowanie podstaw estetyki marksistowskiej, jakie możemy znaleźć w pismach klasyków. Cenna „Sickingen-debatte” zawiera wiele materiału dla teoretycznych rozważań nad marksistowskim ujęciem problemu „kategorii estetycznych”. Nie została ona jednak przez Lukacsa problematyzowana pod kątem marksistowskiej teorii literatury. Autor dąży raczej do przedstawienia lassalowskiego stanowiska jako interesującego przykładu drobnomieszczańskich deformacji socjalistycznej wiedzy o kulturze.

Debatę o Sickingenie obraca się w kręgu ówczesnych teorii rewolucji jako formy postępu społecznego, co stanowiło doniosłe zagadnienie nie tylko dla socjalizmu naukowego, ale również dla filozofii historii i sztuki Hegla oraz jego następców. Tragedia rycerza von Sickingen, przywódce rycerskiej rebelii z r. 1525, stanowiła istotny wyraz poglądu drobnomieszczańskiego niemieckiego ruchu socjalistycznego, reprezentowanego przez Lassalle’a. Dramat o Sickingenie miał być w intencjach Lassalle’a rodzajem samokrytyki rewolucjonistów z r. 1848. Pomysł wysunięcia analogii m. niemiecką Wiosną Ludów a wojnami chłopskimi czasów reformacji pochodzi z artykułu Engelsa w „Nowej Gazecie Ręskiej” z r. 1850. Engels przeprowadzał tam uprawnione naukowo zestawienie dwóch odrębnych historycznie przejawów niedojrzałego ruchu rewolucyjnego. Lassalle natomiast usiłował wythumaczyć klęskę rewolucji z roku 1848 przez ahistoryczną formułkę „tragizmu” wszelkiego ruchu rewolucyjnego. Każdy przewrót społeczny przynosił zagładę swym przywódcą. Skazany jest na klęskę dzięki temu, że w konflikcie między „starym” a „nowym” przeszłość także ma za

sobą prawo moralne i wielką siłę oporu. Lassalle podejmował tu koncepcję rewolucji, ustaloną przez pohegłowską estetykę mieszczańską (Vischer i in.), która w swej niechęci ku przewrotom społecznym wysuwała filisterską teorię bezsilności wszelkich rewolucji, które cofać się muszą wobec potęgi zastanego ładu i godzić się na kompromisy, realizując zaledwie skromną część swego programu. Sprzecznosc między żywiołowym napięciem walki rewolucyjnej a jej ograniczonymi osiągnięciami, powoduje nieuchronnie winę tragiczną przywódcy rewolucji społecznej. Zmuszony do kompromisów i rozgrywek politycznych sprzeniewierza się moralnej idei rewolucji i ginie w konflikcie z reprezentowanymi przez siebie siłami społecznymi. Sprzecznosc taka rzeczywiście istniała w każdej rewolucji burżuazji, która występując z szerokim programem społecznym, mającym pozyskać jej pomoc ludu, redukowała swe postulaty do minimum, zabezpieczającego jej interesy klasowe, by nie naruszać podstaw swej dominacji nad ludem.

Lassalle, przedstawiciel drobnomieszczańskiego socjalizmu, absolutyzował burżuazjne społeczeństwo; cechę rewolucji przypisywał przewrotowi społecznemu „an sich” (w sobie). Przewrót antykapitalistyczny obciążył ponurym dziedzictwem zakłamania rewolucji prokapitalistycznej.

Zafalszowanie tragedii Sickingena widzieli Marks i Engels przede wszystkim w tym, że Lassalle wybrał dla przeprowadzenia porównania z rewolucją 1848 r. dzieje rebelii rycerskiej, a więc ruchu o wstecznych interesach klasowych, ruchu klasy skazanej na upadek; po drugie w tym, że wybrałszy raz tematycznie walki ginącej klasy, nie utrzymał swego Sickingena konsekwentnie w tej koncepcji, lecz uczynił go wbrew prawdzie historycznej reprezentantem kierunku rewolucyjnego.

Lassalle popełnił jednak jeszcze jeden istotny błąd z punktu widzenia estetyki marksistowskiej w swej koncepcji tragizmu. Zamiast teorii obiektywnego historycznego tragizmu, nosicieli określonych tendencji klasowych, przyjął teorię subiektywnego tragizmu bohatera, który popełnia winę tragiczną, związaną nieuchronnie z samym zjawiskiem rewolucji. Stąd przeniesienie punktu ciężkości w tragedii Lassalle’a z gry realnych sił społecznych na wewnętrzne problemy etyczne bohatera.

Lassalowska interpretacja rewolucji — ściśle formalna, schematyczna, niehistoryczna, rozegrana na płaszczyźnie jednostkowej etyki, zakładająca nieunikniony konflikt wewnętrzny każdej rewolucji, odpowiadała oportunistowskiemu drobnomieszczańskiemu reformizmowi. Sprowadzenie konfliktów historycznych do wewnętrznych problemów moralnych bohatera — wodza rewolucji było dowodem idealistycznego pojmowania historii jako szeregu posunięć wybitnych jednostek. Idealizm historyczny, słabość klasowego widzenia historii i oportunizm drobnomieszczański doprowadziły Lassalle’a do koncepcji ugody z Bismarckiem, jako reprezentantem państwa, który byłby w stanie doprowadzić proletariatu niemieckiego do socjalizmu bez wchodzenia na szlaki „antynomicznych”, „tragicznych” rewolucji.

Koncepcja tragizmu, uwarunkowana klasową ideologią Lassalle’a, pociągnęła za sobą specyficzną formę artystyczną „Sickingena”, schillerowską, patetyczno-retoryczną rozprawę dramatyczną, w której występujące postacie są tubami abstrakcyjnych postaw etycznych. Filozoficzne założenia Lassalle’a uniemożliwiły zastosowanie techniki szekspirowskiej — stworzenia realistycznego obrazu epoki wielkiego przełomu społecznego.

Polityczna i literacka działalność Lassalle’a jest przykładem groźnej „Verbürgerlichung” ruchu socjalistycznego, filistrzenia proletariatu w sojuszu z drobnomieszczaństwem. Całokształt pracy historyczno-literackiej Engelsa zwrócony był przeciwko temu groźnemu dla kultury proletariackiej zjawisku.

Marks i Engels walczyli o włączenie nauki o literaturze w całością jednolitą nauki historycznej o dziejach kultury. W dążeniu do stworzenia takiej wiedzy musieli Marks i Engels rozprawić się z mieszczańskimi teoriami kulturoznawczymi z prawa i z lewa. Obok tezy o autonomii sztuki, niepodporządkowanej żadnej prawidłowości zjawisk historycznych, brudziła też wulgarno-mechanistyczna koncepcja literatury jako formy politycznej propagandy, nie posiadającej właściwego sobie charakteru specyficznej formy ideologii. Zwłaszcza niebezpieczna była ostatnia koncepcja, narzucająca organizującemu się, niedojrzałemu ideologicznie proletariatu przez radykalne żywioły drobnomieszczańskie. Młodzieńcza działalność Engelsa zwrócona była dlatego w pierwszym rzędzie przeciw literackiej praktyce i filozofii kultury tzw. „prawdziwego socjalizmu”. Ten odłam radykalizującego drobnomieszczaństwa był szczególnie groźny z wychowawczego punktu widzenia; zerował on na pozostałościach kultury drobnomieszczańskiej w świadomości robotników. Engels walczył nieustannie „gegen deutschen Filister in Vers und Prosa”, przeciw reakcyjnej romantyce, wyżywającej się w apologii feudalizmu i utopijnej krytyce kapitalizmu, jak również przeciw naiwnemu fanatyzmowi „Młodych Niemiec”, negujących prawa poezji, a wpadających w pusty patos i werbalizm.

Zwrot od radykalnego demokratyzmu do materializmu historycznego dokonał się w

Engelsie w okresie pobytu w Anglii. Fakt, że wielkie dzieła rewolucyjnego romantyzmu, poematy Byrona i Shelley’a, znalazł w rękach postępowych robotników, dał początek jego teorii spuścizny kulturalnej, którą dziedziczy proletariatu, by zapewnić jej możliwość dalszego oddziaływania i rozwoju, nieosiągalnych w ramach systemu kapitalistycznego.

Engels przeprowadza precyzyjną formalno-ideologiczną krytykę programowej poezji i prozy „prawdziwego socjalizmu”, gdzie chaotyczny i drobiazgowy obraz świata pozbawiony jest zasady organizacyjnej, hierarchii zdarzeń, zdyscyplinowanej narracji. Wywołało to ze strony Engelsa szereg uwag krytycznych, które i dziś mają wartość dla zagadnienia sztuki autentycznej — dokumentalnej.

Drugim torem pracy Engelsa nad kulturą proletariatu była konsekwentna metoda kompromitacji kultury gnijącej burżuazji, celem usunięcia proletariatu spod jej wpływów. Łączyło się z tym postulowanie proletariackiej tematyki literatury socjalistycznej i jej rewolucyjnego kierunku. Silnie stawiał Engels zasadę oparcia tworzącej się kultury proletariatu o szczytowe osiągnięcia przeszłości kulturalnej ludzkości. Proletariat powołany jest do tego zadania, gdyż burżuazja w procesie upadku ideologicznego coraz bardziej oddala się od spuścizny wielkiej myśli naukowej i wielkiej sztuki, stworzonej przez nią niegdyś dla walki o postęp społeczny. Problem spuścizny kulturalnej oznaczał jednak u Engelsa nie tylko troskę o właściwy punkt wyjścia kultury proletariackiej, lecz także i nieubłagana krytykę kapitalistycznej współczesności mieszczańskiej. Walka o tradycje literackie jest walką o „wielki” realizm, któremu przeciwstawia Engels chaos i rozbiór „małego” realizmu okresu ginącego mieszczaństwa.

Odrzucając dekadentkie hasła autonomiczności sztuki, „mały” realizm, literaturę „szarego człowieka” i naiwną, wulgarną politycz-

ność nieudolnej tzw. „literatury tenedencyjnej” Młodych Niemiec, wskazywał Engels ideologom proletariatu typ sztuki, który jedynie jest w stanie odtworzyć oblicze nowej kultury i nowego świata, dać prawdziwą, niesfałszowaną wiedzę o życiu.

Rok 1848 był momentem, w którym zarówno niemiecka jak francuska burżuazja dokonała zdrady interesów związanej z ludem, burżuazyjno-demokratycznej rewolucji na rzecz Hohenzollernów czy bonapartyzmu. Ten przełomowy rok w historii, w którym proletariatu po raz pierwszy wystąpił na widownię jako decydujący czynnik rewolucyjny, zakończył erę postępowości burżuazji zachodnioeuropejskiej. W kurczowej obronie swych interesów klasowych rezygnuje ona kolejno z ryzyszunku ideologicznego, którym walczyła z feudalizmem. Kolejno wypiera się laickiego światopoglądu, racjonalizmu, liberalizmu. „Bogi, które stworzyły burżuazję — opuściły ją” — mówi Marks. „Robotnicy Niemiec i Francji stali się buntownikami — pisze Engels. — Zostali na wskroś zarażeni socjalizmem, a w dodatku — z całkiem słusznymi powodów — nie upierali się przy wyłącznie legalnych środkach zdobycia władzy. Cóż więc innego pozostawało francuskiemu i niemieckiemu bourgeois, w charakterze ostatniej deski ratunku, jeśli nie porzucenie po cichu swego wolnomyślicielskiego — podobnie jak zuchwały smarkacz, ogarnięty coraz bardziej przez chorobę morską rzuca zapalone cygaro, z którym paradował, pyszałkowało w pokładzie”. Różnorodny i skomplikowany rejestr masek, jakie zdobyły proces rozkładu ideologii burżuazyjnej, ukazał Lukacs na gruncie sformułowań Marksa. Egzemplifikację poprowadził jednak aż do czasów współczesnych, weryfikując tym samym marksowskie schematy procesów ideologicznych i stwierdzając raz jeszcze ich niezawodną historyczną użyteczność w ramach określonej struktury społeczno-gospodarczej.

Konstanty Simonow

NIEŚMIERTELNE

tem jednak doszedłszy do wniosku, że straszenie przestało już oddziaływać, rzucił dwie ostatnie bomby i odrzucił.

— Ot, i uciek! — tubalnie roześmiał się major, stając na skraju mostu tak blisko wody, że myślałbyś: malutko a wpadnie w nią. Naprawdę bym zapomniał zupełnie o tym drobnym epizodzie, lecz niektóre okoliczności, które zaszły później, każyły mi go zapamiętać.

Późną jesienią znalazłem się znnowu na tym samym odcinku frontu — naprzód nad Dnieprem, a potem za Dnieprem. Usiłowałem dogonić naszą armię, która w tym czasie pomaszzerowała już daleko na zachód. Po drodze rzucało mi się w oczy to tu, to tam jedno, nieustannie powtarzające się nazwisko. Towarzyszyło mi stale w czasie podróży. To widniało na kawałku deseczki przybitej do telegraficznego słupa, to znów na ścianie chałupy, to znów widziałem je wypisaną kredą na rozwalonym czołgu niemieckim: „Min nie ma. Artemiew”, albo: „Droga skontrolowana. Artemiew”, albo: „Objazd na lewo. Artemiew”, albo: „Most zbadany. Artemiew”, albo po prostu: „Artemiew” i strzałka na zachód. Z treści napisów nie trudno było się domyślić, że „Artemiew” to nazwisko jakiegoś komendanta oddziału saperckiego, który szedł z pierwszą linią wojsk i oczyszczał drogę. Na tym odcinku meldunki saperckie były jednak szczególnie częste, drobiazgowo i, co najważniejsze, zawsze odpowiadały prawdzie. Gdy przejechałem już dobre 200 km i stale towarzyszyły mi te same napisy, przypomniałem sobie owego niewiastkę, smutnego majora, który wtedy pod bombami kierował budową mostu na Jeśnie i nagie przyszło mi do głowy, że bardzo możliwe, iż oficer ten i ów tajemniczy Artemiew, który w charakterze saperckiego anioła-stróża siedzi na czele armii, to jeden i ten sam człowiek. Zimą, a było to w rejonie Boiu, nocowałem w niewielkiej wiosce, gdzie mieścił się polowy szpital.

Wieczorem zeszło się kilku lekarzy, siedzieliśmy popijając herbatę. Nie pamiętam już z jakiego powodu, wspomnieliśmy coś o tych napisach.

— Tak, tak — powiedział ordynator szpitala — już chyba pół tysiąca kilometrów idziemy wzdłuż tych napisów. Te jakieś zany człowiek. A wiecie, to nazwisko i niekóre nasze lekarzy wyprowadza z równowagi... (tu spojrzął znacząco na siedzącą obok młodą kobietę). No, no, nie gniewajcie się. Wiera Nikołajewna, ja przelecę...

Ordynator szpitala zwrócił się do młodej lekarzki, która poprzednie słowa wyraźnie podrażniły.

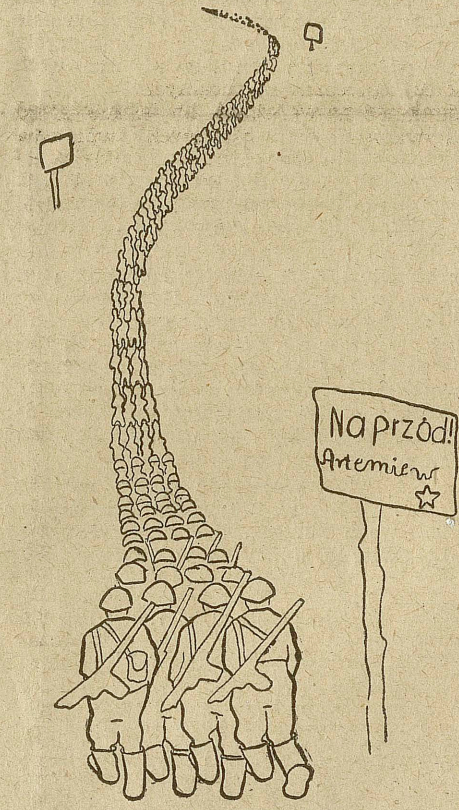
— Tu nie ma powodu do żartów — powiedziała towarzyszka Wiera i zwróciła się do mnie.

— Pan pojedzie dalej, prawda?

— Tak.

— Oni tu śmieją się z mojego, jak oni to określają, „zabobonnego” przeczcucia. Ja, proszę pana, także nazywam się Artemiewa i odnoszę wrażenie, że ten komendant to mój brat.

— Brat!



Rys. H. Orzechowska

Gdyśmy znajdowali się jeszcze na brzegach Desny, przydarzył się miemu „Willisowi” mały defekt. Podczas gdy szofer majstrował przy przebitej oponie, położyliśmy się nad brzegiem. Wskutek znanej złośliwości przedmiotów martwych opona nawałiła na najfajniejszy odcinek drogi — przy prowizorycznym moście na Desnie. W czasie tych trzydziestu minut dwukrotnie pojawiły się nad nami niemieckie bombowce po 3, 4 sztuki i starały się utrafić w drogę. Za pierwszym razem bombardowanie odbyło się zupełnie normalnym trybem: zrzucały naturalnie niecelnie i odciejały. Saperzy, którzy pracowali przy moście, położyli się na brzuchach i przeczekali tę całą awanturę. Ale za drugim razem ostatni bombowiec jakoś nie odlatywał, zostawił sam nie przestawał się kręcić nieustannie nad rzeką — bucał przy tym niesamowicie. Mały, czarniawy major, który prowadził roboty, skoczył na równe nogi i zaczął kłać jak dorożkarz, częściowo pod adresem niemieckiej Luftwaffe, częściowo na leżących żołnierzy: — i tak tamci będą się dzień cały wierać — a wy tu będziecie się wciąż płaszczyć i robota będzie stać. Teraz właśnie pod bombami: trzeba go robić a nie gdy spokój. Po wojnie postawimy tu most żelazny. Na miejsca, tacy owacy.

Saperzy ociągając się, wstali i patrząc z ukosa na niebo przystąpili do ćsieiółki. Niemiec długo jeszcze krążył w powietrzu, po-

Edmund Niziurski

„Węzły życia” Zofii Nałkowskiej

Powieść zaczyna się nastrojową sceną teatralną. Rok trzydziesty dziewiąty. Styczeń. W jednym z pałaców warszawskich ma odbyć się wielki raut na cześć niemieckiego ministra. W powietrzu czuć już grozę wojny. Za jeżdżającą autą... Przechodnie zatrzymują się zdezorientowani. Padają gorzkie uwagi: „co to znaczy? to ma być z nimi zgoda, czy jak? — I takiego drania jak to przyjmują... — Głupota, czy co? — prędzej to będzie lipa...”

Lecz jest to zarazem ostatnie vox populi w książce. Za chwilę zamknie się brama wiadująca za obręb „murów Jerycha”. Odtąd akcja powieści toczyć się będzie pod szklanym kloszem izolacji społecznej, póki nie stłumią go niemieckie bomby we wrześniu.

Na raut oprócz „zmaterializowanych” nazwisk z depesz i wstępnych artykułów politycznych przybyli i tacy jak JWP. Generał Jaspis Wysokółski, „były wiceminister, ostatnio po prostu naczelnik sekcji w departamencie służby zdrowia”, ludzie już politycznie wykończeni, niegdyś pierwsza, teraz ostatnia brygada „żywe wyrzuty sumienia”... Ci zaproszeni już tylko z grzeczności.

Wpuszczeni do sal pałacu jak do ciepłego akwarium, tamten przedwojenny świat staje się u Nałkowskiej czymś nierealnym, zaledwie jakimś niewyraźnym zarysem wynurzającym się ze wspomnień. Schadzka elizejskich cieni, już schwytych w sidła fatum. Przeglądając

Z oddalenia lat, poprzez dymy krematorium tamten przedwojenny świat staje się u Nałkowskiej czymś nierealnym, zaledwie jakimś niewyraźnym zarysem wynurzającym się ze wspomnień. Schadzka elizejskich cieni, już schwytych w sidła fatum. Przeglądając

*) Zofia Nałkowska — „Węzły życia”. Spółdz. Wydawn. „Ośw. „Czytelnik”, Kraków, 1948 r.

niem wyblakłych fotografii ludzi niesławnie umarłych. Jakby autorska wiedza ex post o czekającym ich końcu udzieliła się samym bohaterom książki i odebrała im wszelką chęć życia. Sami sobie wydają się nierealnymi zjawami. „Poruszają się sztywno i sennie ruchami roślin głębinowych”. Mało mówią. Jeszcze mniej działają. Nawet w myśleniu wyręcza ich chętnie autorka.

Rolę, którą w „Murach Jerycha” Brezy gra „mowa pozornie zależna”, u Nałkowskiej spełnia **pozwornie zależne myślenie**, przechodzące niekiedy niewidocznie w komentarz autorski. Niektóre postaci z „Węzłów życia” są jakby wyłącznie do tego celu stworzone. Takim jest stary sceptyk, profesor Działywa no i przede wszystkim pani Agata Wysokółka. Gdy na str. 79 Agata snuje wspomnienia o minionych miłościach w swym życiu, to już na str. 84 ten sam monolog wewnętrzny urasta w prawdę ogólnoludzką, obiektywizuje się do tego stopnia, że czytelnik właściwie nie wie już, kto tu myśli: czy wciąż jeszcze żona dygnitarza sanacyjnego, czy może już sama autorka.

Dlatego, gdybyśmy na podstawie powieści chcieli np. wyrobić sobie pojęcie o reżymie sanacyjnym, musimy sięgnąć nie do działań bohaterów książki, nawet nie do ich rozmów, lecz do tych bezpośrednich, lub pozornie zależnych myśli, wspomnień i przywidzeń, rozszaniach po kartach powieści. Tylko w ten sposób skompletujemy sobie podręczną encyklopedię autorskiej wiedzy o sanacji.

„Od Rządu Ludowego, aż po dzisiejszy układ sił przeszło czasu niemało. I zespół ludzi u góry odnawiał się parokrotnie, odpowiednio do kursu. W pewnej chwili grupa będąca przy władzy włączyła w swój obręb wielką własność... Ledwie jednak nowi marszałkowie, premierzy i prezesi nauczyli się nosić fraki i monokle, już mapa relacji politycznych ulegała nowej zmianie. Pułkownicy pakowali z młodymi, pragnąc ich z kolei za-

garnąć i unieszkodliwić. A zarazem odświeżyć się nimi i zaktualizować. Wreszcie i oni sami poczuli się zagrożeni... Jedni byli jeszcze na wierzchu, innych przesłaniała już nieuchwytna mgła oddalenia. Robili się niewydolni, nieprzydatni, przestali się nadawać. Otrzymywali urlopy bezterminowe, dogasali na podrzędnych stanowiskach”.

Te metody podejścia do ideologicznych wrogów „jak ryba do Jonasza” znamy już z „Murów Jerycha”. Lecz zdaniem Nałkowskiej nie były to wcale zwycięstwa, tylko „jedna za drugą rezygnacja z rzeczy najważniejszych”. Stopniowe zatracanie własnej ideologii.

Zajrzyjmy z kolei, jaka to była właśnie ideologia Piłsudczyzny.

Okazuje się, że była „lewa”. Taki np. Wysokółski traktował przewrót majowy jako rewolucję społeczną. Przy tej okazji też po raz pierwszy pośliznął się fatalnie na stopniach swej kariery.

„Wysokółski mianowicie poszedł zameldować się u Komendanta, zachwycony zwycięstwem. I zarazem wyraził nadzieję, że teraz dopiero pomyśli się o robotniczych no i o reformie rolnej... wybrał się, co się zowie, nie w porę. Dostał ostry monit, nawet radę, żeby się nie wtrącał”.

Wyszło na jaw, że „Dziadek” stał się teraz niewątpliwie konserwatystą w najlepszym tego słowa znaczeniu.

Pod wpływem tej niespodziewanej dla wielu naiwnych zmiany kierunku część piłsudczyków znalazła się w rozterce. Musieli wybierać między wiernością dla idei a wiernością dla Komendanta. Ci, którzy jak Chrusz zbył na serio wzięli pewne rzeczy w roku dwudziestym szóstym, już wtedy poszli „w odwstawkę”. Inni, jak Uściwacki „opamiętali się w porę”.

Trudno doprawdy pogodzić się z takim rodozłodem sanacji. Równie dobrze można by twierdzić, że faszyzm włoski w swej pierwotnej, czystej formie był socjalizmem, bo Mussolini przed marszem na Rzym w oczach niektórych panów uchodził za komunistę.

Lewicowe sympatie i związki grupy Piłsudskiego z PPS pomijając już fakt, że nigdy nie wychodziły poza rogaliki nacjonalizmu, skończyły się właśnie z chwilą stworzenia własnej klikki politycznej i osiągnięcia władzy. Reżym sanacyjny powstał, jak wszystkie zresztą narodziny faszyzmów z symbiozy nacjonalizmu z wielkim kapitałem. Piłsudski wniósł do tego interesu firmę i cały parawan pseudoideologii. Wielka własność interes sfiansowała.

Zresztą sama autorka najlepiej określa typ tego postęgowego socjalizmu. Gdy wobec grożącego konfliktu ze Związkiem Radzieckim zaproponowano zażegnanie konfliktu przez jakąś „konferencję międzypartyjną, bo przecież i w Polsce byli wtedy u władzy „sojaliści”. Uściwacki, taki właśnie legionista „lewicowiec”, odpowiedział: „My nie walczymy z nimi jako z partią, tylko jako z narodem”.

Lecz dla pisarza operującego analizą psychologiczną poglądy polityczne postaci to tylko materiał, z którego można wykroić jeszcze jeden konflikt wewnętrzny więcej.

Jak zauważa S. Żółkiewski „poglądy polityczne postaci „Węzłów życia” są tak samo umownym, nieważnym, zamaskowanym, konwencjonalnym znakiem indywidualizującym jak ubiór, nawykowy gest...”

„Węzły życia” nie były pomyślane przez autorkę jako powieść polityczna, lecz tylko jako obraz zmierzchu pewnej rodziny sanacyjnej, targanej przez dwa zasadnicze konflikty: rozterki ideologiczne i powikłania uczuciowe. Oto przykłady:

Generał Wysokółski wierny cniom „Dziadek”, ufny w czystość jego „idei i w szlachetność pobudek ludzi sanacji, koniec końcem poznaje w swym koledze, ministrze Aramowiczu, zwykłego karierowicę, który od początku całą „społeczną stronę ruchu” traktował tylko jako świetny chwyt propagandowy.

W tym czasie wychodzi nadto na jaw ukrywany romans generała z pielęgniarką, co przysparza mu niemało zgrzyot. Bowiem „Wysokółski miał tę próżność, że jest człowiekiem czystym... Był w swych uczuciach wstydlivy, był skromny. Nie wykluczało to samych faktów, ale w jego oczach zmieniało jednak ich naturę... Zwłaszcza nie znosił, by znane były innym...”

Jego żona, Agata, to znów typ psychiczny wewnętrznie skupiony. „Suplający w wezleki świadomości” życie własne i cudze. Pielęgnowająca w sercu dawny dramat miłosny. Jej prawdziwą miłość, prokurator Oxeński, zostaje przez okrucieństwo losu mężem jej własnej córki, Katarzyny. W ten sposób „utraciła ich oboje”.

Odrębnym indywidualum jest Sońka, córka Wysokółskich, która opuściła dom rodziców nie mogąc znieść jego zakłamanego atmosfery.

Oto co myśli Sońka o własnym ojcu. „Okropną jest rzeczą patrzeć, czym on żyje, czym on się jeszcze cieszy. Przecież miało być inaczej, przecież o to walczyli. On do dziś jeszcze odczytuje sobie pierwszy tom „Pism zbiorowych” Komendanta i tym się pociesza... A przy tym jeszcze jedno... tam jest podobno jakaś pielęgniarka...” (?)

Lecz jeśli powieść jest próbą udratyzowania ludzi sanacji poprzez konflikty, w jakie popadli, sprzeniewierzając się ideałom młodości, poprzez ich przegraną na każdym polu, to próba taka musi wypaść negatywnie. Dla prostych powodów. Istotnych elementów tragizmu może dostarczyć tylko obraz



Zofia Nałkowska

klęski dążeń postępowych, spowodowanej brakiem warunków przedmiotowych dla zrealizowania tych dążeń.

Książka Nałkowskiej dowodzi ponadto, jak nawet najgłębsza analiza psychologiczna nie wystarczy do poznania danej grupy społecznej, że psychologizm nawet tej miary, co u Nałkowskiej, nie potrafi wypowiedzieć całej prawdy opisywanych zjawisk społecznych, że nie daje obrazu epoki, zwłaszcza gdy chodzi o artystyczne ujęcie procesów rozkładu tzw. elity.

A przecież dziś, w dobie walki o realizm socjalistyczny nie jest obojętne, czy gdzieś dla „małych podpatrzeń reakcji psychicznych i doznań osobistych” poświęca się realizm, a więc i prawdę społeczną.

Podobnie jak „Mury Jerycha” Brezy, „Węzły życia” nie dają obrazu całego społeczeństwa, nie dają nawet obrazu pewnej klasy, lecz jedynie analizę psychologiczną pewnej części klikki sanacyjnej i to w stanie statycznym. Wszystkie omawiane konflikty zastajemy już w chwili rozpoczęcia powieści w pełni rozwinięte, nie możemy śledzić ich przebiegu ani genezy, ich podbudowy społecznej, musimy uwierzyć autorce na słowo.

Nie ma racji Tadeusz Drewnowski pisząc, że dla ludzi sanacji, jako warstwy społecznej osamotnionej, tego rodzaju ujęcie jest usprawiedliwione, a nawet jest doskonałą ilustracją rzekomej izolacji społecznej sanacji.

Izolacji społecznej, lecz od kogo? Chyba nie od wielkiego kapitału, nie od ziemiaństwa, dla których sanacja była przecież polityczną ekspozyturą. Chyba nie od takich ludzi jak Sztemler z „Murów Jerycha”, czy Aramowicz z „Węzłów życia”. Bo czy w ogóle jest do pomyślenia jakaś klika polityczna bez odpowiedniej podbudowy klasowej?

Elita rządząca nie wylega się w wysterylizowanej probówce, lecz na pożywce klasowej. Dlatego jeśli można mówić o izolacji to jedynie o izolacji względnej, izolacji wobec postępowych klas społeczeństwa.

Zarówno w powieści Brezy, jak i Nałkowskiej niedopuszczalne było zlekceważenie tych powiązań społecznych sanacji, to przedstawianie jej jako grupy zawieszzonej w próżni, grupy autonomicznej. To zacieranie klasowej treści izolacji sanacyjnej.

Lecz, żeby dać pojęcie takiej właśnie izolacji, trzeba prawdę społeczną pokazać z tej i z tamtej strony „murów Jerycha”, a przede wszystkim trzeba te mury w oczach czytelnika wznieść.

Z powojennych powieści o sanacji bodaj najtrafniej rozwiązał to zagadnienie Putrament w „Rzeczywistości”. Putrament pokazuje maszynę sanacyjną w ruchu — społeczeństwo w szerokim przekroju. Lecz zadanie to było tu ułatwione. Punkt obserwacyjny mieścił się poza murami Jerycha w pokoiku redakcyjnym wileńskich „Zagorów”.

„Węzły życia” potraktowane jako etap rozwoju artystycznego autorki „Medalionów” przedstawiają usiłowanie ucieczki od estetyzmu. Autorka strzeże się pilnie wszelkich niezwykłości tak zawsze kuszących dla psychologa. Przedstawia ludzi i zjawiska przeciętnie. Lecz zapytajmy, czy typowe?

Przeciętny Francuz w epoce i środowisku będącym tłem powieści Balzaca nie miał zapewne aż takich uzdolnień, ambicji i próżności jak Lucjan Chardon, jego dążenia nie znalazły zapewne aż takiego wyrazu jak życie Lucjana. Podobnie nie każdy świeżo upieczony mieszczanin polski z doby pozytywizmu kochał się w arystokracie, nie każdy zdobył fortunę na handlu i niekoniecznie musiał tragicznie skończyć, a jednak przyjęto Lucjana Chardon i Wokulskiego uważać za pewne typy społeczne. Typy dlatego, że reprezentują wyolbrzymione i przez to łatwiej widoczne cechy społeczne, charakterystyczne dla danej grupy. W nich, w ich dążeniach i

NAZWISKO

— Tak, nie mam o nim żadnej wiadomości od początku wojny. Rozstał się jeszcze w Mińsku. Do wojny był inżynierem drogowym, stale wydaje mi się, że to właśnie on. Wierzę w to.

— Wierzy — przerwał jej ordynator — i ma jeszcze pretensje, że autor tych napisów nie stawia przy nazwisku imienia i „otczestwa”.

— Tak, powiedziała lekarka — rzeczywiście, gdyby przy nazwisku było jeszcze A. N. — Aleksander Nikolaiewicz Artmiew, byłabym już zupełnie przekonana.

— Wie pan, co ona raz zrobiła? — zaczął znowu ze śmiechem naczelnik szpitala. — Ona napisała kiedyś tak pod tabliczką: „Ale jaki Artmiew?” czy czasami nie Aleksander Nikolaiewicz? Poszukuje go siostra Artmiewa, poczta polowa 0390B”. To właśnie numer naszej poczty.

— Tak, ja rzeczywiście tak napisałam. Wszyscy tu śmiali się ze mnie i przekonywali, że oddałyby saperskie rzadko kiedy wracają swoimi dawnymi szlakami. Naturalnie oni mają rację, ale ja mimo to napisałam. Kiedy pan pojedzie naprzód — powiedziała po chwili milczenia — ja bardzo proszę, niech się pan pyta o to nazwisko po dywizjach, po sztabach. Może pan się akurat czegoś dowie. Ja panu zaraz zapiszę numer naszej poczty. A gdy pan zdobędzie jakieś informacje, niech pan mi zrobi tę grzeczność i przysłać parę słów.

Gdy wkładałem karteluszki do kieszeni munduru, patrzyła na mnie przenikliwie, jakby chciała wy badać, czy nie zapomnę o całej tej sprawie.

Tymczasem ofensywa trwała. Za Dnieprem i nad Dniestrem wciąż spotykałem to samo nazwisko — Artmiew. „Droga rozminowana. Artmiew”. „Przeście skontrolowane. Artmiew” lub po prostu: „Artmiew” i strzałka wskazująca na zachód.

W kwietniu, a było to w Bessarabii, natknąłem się na jedną z naszych dywizji strzeleckich. Gdy spytałem o interesujące mnie nazwisko, usłyszałem od generała nieoczekiwaną odpowiedź:

— No, jakżeż, toż to przecież dowódca mojego batalionu saperskiego, major Artmiew, doskonały saper.

A dlaczego pan się pyta? Na pewno pan to nazwisko często spotykał?

— O tak, bardzo często.

— Toż on całej dywizji, korpusowi, ba, całej armii drogę toruje. Cały czas idzie na przedzie. W całej armii znane jest to nazwisko, chociaż go i mało kto widział na oczy, ponieważ on idzie stale na przedzie. Już tak coś 500 km. Sławne, ba, można powiedzieć, nieśmiertelne nazwisko. Znowu przypomniała mi się przeprawa przez Desnę i powiedziałem generałowi, że chciałbym poznać owego Artmiewa.

— A to poczekajcie, jak się gdzie zatrzymamy na kilka dni, na pewno go zobaczymy. Teraz on jak zawsze z przednimi strażami.

— A propos, towarzyszu generale, a jak ma na imię?

tłumaczył T. Chróścielewski

— Jak mu na imię?... poczekajcie, na imię mu Aleksander Nikolaiewicz. A bo co?

Opowiedziałem generałowi moją rozmowę z personelem szpitala.

— Tak, tak — powiedział generał, on rzeczywiście był przed wojną cywilem, lecz teraz to już taki wojak, jakby nieprzymierzając sto lat w wojsku służył. To na pewno ten sam.

Nocą poszperał w kieszeni, odnalazłem ową notatkę z adresem polowym i napisałem do lekarki Artmiewy, iż jej przecucia były słuszne.

Pamiętam, że byłem wtedy bardzo rad z siebie, i z tego, że nie zgubiłem adresu i, że przesłałem jej tę wiadomość. Po tygodniu jednak mocno pożałowałem swojego kroku.

Było to na prawym brzegu Prutu. Mostu jeszcze nie postawiono, tylko dwa sprawne pontony. Podjeżdżając do lewego brzegu, ujrzałem na strąskanym helmie niemieckiego samochodu pancernego znajomy napis: „Przeprawa bezpieczna. Artmiew”.

Wyszedłszy na brzeg, ujrzałem jednak w odległości około 20 kroków od pancernika, małe, świeżo usypane kopczyk z piramidką i gwiazdą, pod nią zaś kwadratowa deseczka. „Tu spoczywa — brzmiał napis — major A. N. Artmiew. Poległ śmiercią sapersą przy przeprawie przez Prut”. A niżej niezgrabnymi czerwonymi literami: „Naprzód, na zachód”. Na piramidzie pod szkiełkiem widniała fotografia. Przyjrzałem się. Zdjęcie było stare z postrzępionymi brzegami. Długo zapewne leżało w kieszeni bluzy oficerskiej. Poznałem go jednak: to był ten sam drobny, czarniawy major, którego przed pół rokiem widziałem nad Desną.

Długo stałem przed tą mogiłą. Opanowało mnie niezmierne przygnębienie. Było mi o gromnie żal siostry, która straciła brata, nie zdążywszy jeszcze zapewne otrzymać zawiadomienia, że go odnalazła. I jeszcze jakieś dziwne uczucie osamotnienia. Nie mogłem sobie wyobrazić dalszego pochodu bez tych codziennych, dobrze znanych podpisów. Ale cóż robić. Na wojnie, chcąc nie chcąc oswaja się człowiek ze śmiercią.

Poczekaliśmy na samochody, które tymczasem wyładowywano z promów i odjechały. W ciągu 15 km. drogi, w miejscach, gdzie z obu stron szosy wybiegały w dół głębokie wąwozy, widzieliśmy co parę staj odwołane na bok sterty niemieckich przeciwzołgowych min. Na samotnym stupie telegraficznym widniała deseczka z tym samym podpisem: „Droga rozminowana. Artmiew”. Nie było w tym żadnego cudu. Żołnierze tego batalionu, jak to się często zdarza w oddziałach, które długo nie zmieniają dowódcy, zwykli nazywać swą jednostkę batalionem Artmiewa i teraz czcąc pamięć poległego komendanta w dalszym ciągu podpisywali jego imieniem meldunki o wykonaniu zadań.

Jadąc tak wtedy po śladach owego oddziału i spotykając co 10, 20, 30 km to samo, rzeczywiście nieśmiertelne nazwisko, wiedziałem już na pewno, że niedługo już, w bardzo niedalekiej przyszłości, znajdą się koło lejno nad brzegiem Niemna. Odry i Sprewy i, że wszędzie tam zobaczą nieśmiertelne deszczulki z napisem:

„Droga wolna. Artmiew”

1943 r.

ambicjach znajdują swój wyraz powszechne w danej epoce i środowisku społecznym dążenia i ambicje innych jednostek tej samej klasy, choć może spoczywające tylko w stanie potencjalnym, niezrealizowane i niewyżyte. Bo „typowe” to nie „przeciętne”, lecz właśnie to łączące w sobie cechy wybitne, dostrzegane mniej oczywiście u osobników innych. Skoro powieść zgodnie z założeniami realizmu socjalistycznego ma dawać prawdziwą społeczną wiedzę o życiu, zrozumiałe jest znaczenie, jakie przypisuje typowości.

Istotą sztuki nie jest fotograficzne odtwarzanie rzeczywistości. Nie wystarczy rzeczywistość obserwować, należy ją jeszcze arty-

stycznie opanować, ale to, co się zwykło pod ten zwrot formalnie podkładać, tj. uporządkowanie, selekcję, wybór z surowego materiału prowadzi właśnie do tego, co typowe. Czy w takim rozumowaniu znajdujemy w powieści Nałkowskiej typowych przedstawicieli sanacji?

To rzecz do dyskusji. Weźmy na przykład Agatę z jej filozoficznym stylem życia i przerosciami świadomości. Może w ujęciu autorki była niezbędną jako sumienie sanacji, lecz czy taką była typowa żona dygnitarza sanacyjnego?

Prędzej można się zgodzić z typem Abramowicza, karierowicza, który na naiwnym

zaufaniu poczytywał legionistów wyjechał na fotel ministerialny. Lecz on nie był znów „ich człowiekiem”.

Lub czy może za przedstawiciela młodzieży sanacyjnej uchodzić Edmund Oxeński, sparowany wyłącznie na użytek psychologii, jako smutny produkt rozłamu sanacyjnej rodziny?

Podobnie z generałem Wysokolskim. Kult Komendanta — w porządku. Romans z pielęgniarzami — może. Lecz ta dziecięca naiwność. Ta wiara w społeczny sens sanacji, to niedostrzeganie karierowiczostwa i zakłamania. Tu Breza poszedł dalej. Jego bohaterzy są więcej świadomi istoty sanacji. Oni sami,

jak notuje Drewnowski, uprawiają własną immanentną krytykę.

Jeśli cała powieść jest próbą dojścia do realizmu metodą psychologiczną, to jej ostatnia część wykaże nieprzeciętne możliwości Nałkowskiej jako prawdziwej realistki. Niemieckie bomby stłuką jej psychologiczne laboratorium, a wraz z nim wszystkie próbki z martwymi preparatami sanacji. Akcja nabierze z miejsca tempa. Stronice książki zaludnią się żywymi ludźmi.

Jeszcze krok, a ujrzymy realistyczny świat „Medalionów”.

Edmund Niziurski

Krzysztof Sławiński

Odchodzące „Chiny bez maski”



Mao Tse-Tung, dowódca wojsk Chin Ludowych

„Chiny bez maski” — to Chiny Kuomintangu. To są raczej Chiny, które Kuomintang zaprzedał obcemu imperializmowi. Tutaj, na tym obszarze, obejmującym 9.491.000 km² z blisko 450 mil. ludnością, zawiązały się w sposób niemalże bezprzykładowy, ale zarazem niezwykle charakterystyczny — konflikty i antagonizmy klasowe i międzynarodowe. Tu zdrada rodzimej, narodowej burżuazji przybrała charakter tak oczywisty, jak cynicznym i brutalnym okazał się międzynarodowy imperializm.

By zrozumieć bieżącą historię Chin, trzeba by zapewne wrócić do powstania Tai-pingów — gdy milionowe masy chłopstwa podniosły bunt przeciw władzy cesarskiej — a władza cesarska w obronie feudalnego ustroju i swych majątków wezwała armie mandżurskie do zwalczania rodzimych uciśnionych mas ludowych. Trzeba by opisać klęski głodowe, spadające okresowo na barki chińskich chłopów. Trzeba by powiedzieć, jak cesarskie i dzierżawne podatki pozbawiały chłopów pól rolnych, możliwości egzystencji, rzucali milionami w szeregi żebraków i kulisów. Trzeba by w końcu powiedzieć, jak spróchniały gmach monarchii cesarskiej zawałił się pod uderzeniem rewolucji ludowej, której przewodził wielki Sun-Jat-Sen.

Ale historia w Chinach w ciągu ostatnich dziesięcioleci toczyła się bardzo szybko. Z monarchii pozostały tylko popioły. Z ideologii Sun-Jat-Sena... tylko grobowiec, piękny, wspinały grobowiec, w Nankinie, stolicy Chin, stolicy, którą dysponują zagraniczni miliardery i dyplomaci.

Któż to był Sun-Jat-Sen, któremu Kuomintang postawił tak piękny grobowiec? Był przywódcą burżuazyjno-demokratycznej rewolucji, skierowanej przeciwko feudalizmowi i obcemu imperializmowi. Poglądy swe sformułował w słynnych Trzech Zasadach:

1. Wyzwolenie narodowe spod imperialistycznego ucisku.
2. Obalenie feudalizmu i ustanowienie zjednoczonej republiki demokratycznej.
3. Podniesienie dobrobytu ludu przez reformę rolną, polepszenie doli klasy robotniczej i ograniczenie władzy kapitału.

Choć Sun-Jat-Sen nie był marksistą — ale rozumiał dialektykę rewolucji i rozumiał, że bez współpracy z klasą robotniczą i komunistami nie uda się zabezpieczyć niezależności Chin. Wprowadził więc, powstała w roku 1921, Partię Komunistyczną do Kuomintangu (Partii Ludowej), której był przywódcą, z podziwem spoglądał na wielkie osiągnięcia rewolucyjnego rosyjskiego proletariatu, w którym widział czołową siłę bloku antyimperialistycznego. Na dzień przed śmiercią napisał wzruszający list do CKWK(b):

„Zaleciłem Kuomintangowi, by kontynuował dzieło ruchu narodowo-wyzwoleńczego. dopóki Chiny zepchnięte do poziomu półkolonii nie uzyskają wolności. Dlatego też zaleciłem partii, by była w stałym kontakcie z Wami... Wy stoicie na czele Związku Wolnych Republik — spadku, który pozostawił uciskany narodowi światła nieśmiertelny Lenin. Z

pomocą tego spadku ofiary imperializmu wyzwolią się spod reżimu międzynarodowego, którego podstawy były oparte od najdawniejszych czasów na niewolnictwie, wojnach i niesprawiedliwości... Z braterskim pozdrowieniem Sun-Jat-Sen”.

Testament Sun-Jat-Sena powinni zrealizować jego uczniowie i współtowarzysze walki z Kuomintangiem... I zrealizowali — budując grobowiec — nie tylko twórcy demokratycznych Chin, ale też jego wielkim dyrektywom rewolucyjnym. Czang-Kai-Szek, który uzyskał przywództwo Kuomintangu po śmierci Sun-Jat-Sena zerwał współpracę z komunistami, rzucił przeciw nim wieloset tysięczną armię, porzucił demokratyczno-ludową politykę Sun-Jat-Sena, wzmocnił władzę burżuazji i napoły feudalnego ziemiaństwa. A w konsekwencji... „Chiny bez maski”. Obraz kreślony przez Kischę — to zamierzone i niezamierzone wyniki polityki Czang-Kai-Szeka i prawicowego Kuomintangu.

Czytając książkę, zdaje się, jakby się już te obrazy gdzieś widziało, może nawet przeżywało. Kiedy? Gdzie?

Te miliony kulisów, nędznych, wychudzonych, ginących z głodu... Ci złoczyńcy, którzy kradli z głodu i których sąd chiński karze, dlatego tylko, że byli głodni... Przystępcy, uśmierceni strzałem w tył czaszki... Dorosłe dziewczęta o wyglądzie dzieci... To już, było... Niedawno, bardzo niedawno, u nas, w Europie, w Polsce.

Polityka imperializmu jest wszędzie taka sama, zawsze przynosi nędzę i śmierć ludu.

Na tej nędzy wznoszą się kilkunastetowie piramidy — spekulacji, wyzysku, ciemnienia. Burżuazja chińska, amerykańska, francuska, niemiecka zebrały się tu — na chińskiej ziemi — by pomnożyć swe zyski, by przywozić

swoje towary i swoją broń. Przyszła cała kapitalistyczna cywilizacja europejska i amerykańska, by pokazać swoje realne, prawdziwe oblicze, by zadokumentować jak to, co powinno być dobrodziejstwem dla człowieka — jest tylko jego nieszczęściem. Dlaczego? Dlatego, że w grobowcu złożono Sun-Jat-Sena i jego testament.

Przywieziono maszyny włókiennicze, małe, dostosowane do wzrostu nieletnich dzieci, by im było wygodniej pracować. Nie! By mogły łatwiej pomnażać zyski właścicieli.

Przywieziono broń — dla wszystkich — dla generałów-watażków, którzy grasują po Chinach i grabią ubogą ludność, dla rządu nankińskiego, dla rządu japońskiego...

Dla wszystkich — by energiczniej między sobą walczyli. Czasem granaty i pociski artyleryjskie padały do pałaców tych eksporterów broni — przypadkiem, niechcący. Gdyby ktoś z nich został zabity — można by powiedzieć, że los jest świetnym humorystą. Ale bomby i granaty — nie często padają do pałaców europejskich bogaczy w Chinach.

Przywieziono też opium. Dla kogo? Tylko dla ludu. Imperialiści wyznają zasadę: co cesarskie, cesarzowi i co boskie, Bogu. Dają każdemu to, czego pragnie: — bogaczowi broń, by się jeszcze bardziej wzbogacił i zapomni o tym, jak haniebnie zdradził swój naród; biedakowi — środki oszalałajacy, by zapomnieli o swej nędzy i wpadli w jeszcze głębszą nędzę.

Ale do Chin eksportowano jeszcze ideały. Watykan przywiózł na chiński rynek idee katolickie. Wszystkich skazanych na śmierć — na kilka minut przed zejściem w zaświaty — nawraca się na katolicyzm. W jakim celu? Dlaczego nie szerzy się chrześcijańskiej miłości bliźniego raczej wśród chińskich bogaczy



Stary Chińczyk

i imperialistycznych eksporterów broni? Kto wie? Skazańcy buntują się, chcieliby raczej umrzeć w wierze swych przodków, która jest im bliska i do której są przywiązani. Wiadomo zaś, że obowiązkiem moralnym człowieka jest wypełnienie ostatniego życzenia skazańca. Dlaczego więc odmawia się im pozostania przy swojej wierze?

Wszystko eksportuje się do Chin wbrew woli ludu chińskiego. I maszyny, i broń — i nawet wiara.

A rząd kuomintangowski? Oczywiście rządzi. Wydaje dekrety, prawa, nakłada podatki, prowadzi wojny. Tylko z kim? Raczej ze swoim ludem, któremu przywodzą komunisty. Wydaje dekrety, które uderzają przede wszystkim w lud i komunistów, ściągają z ludu podatki, by powiększyć armię i zakupić broń — przeciw ludowi i komunistom. Lud płacił swym ciemlęzom za to, że ci ich ciemlęzili. Walczył z komunistami i przeciwko nim skierowywał główne ostrze swych ataków — nawet wówczas, gdy Japonia wielokrotnie atakowała i rabowała chińskie ziemie i bogactwa.

Burżuazjni „znawcy” Chin mówili kiedyś, że tak było w Chinach zawsze i tak będzie zawsze. Dowodził bardzo uczenie, że Chińczyk jest z natury i z rasy bierny, z pokorą znosi swój los. Że potrzeba mu tylko silnej władzy. A czy Kuomintang nie jest silną władzą? Czy nie odpowiada interesom ludu chińskiego? Mówiąc to zachowywali poważny wyraz twarzy. Kłamali z powagą. A tym samym w dwójnasób naigrawali się z ludu chińskiego i rządu chińskiego.

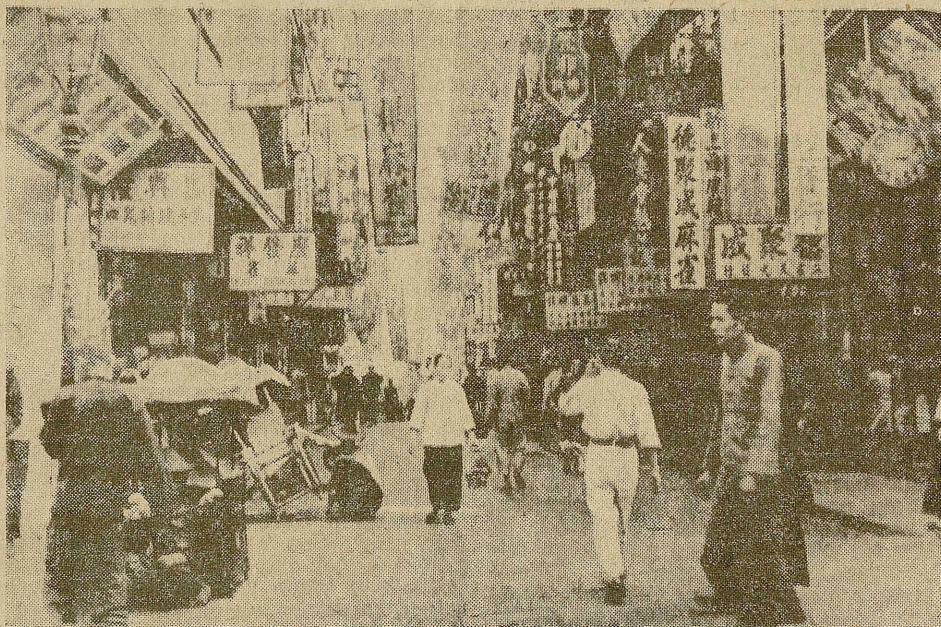
Dziś nie mówią już tego. Ale i wówczas, gdy Kisch pisał swój reportaż, słowa ich były wlerutnym kłamstwem.

Komunikaty wojskowe ogłaszały stale akcje pacyfikacyjne przeciw bandytom. (Nie wolno było mówić: „komunistom”, bo ten termin przywoływał z miejsca w pamięci postać Sun-Jat-Sena, którego lud chiński darzy nieślabnącą czcią). Ale równocześnie komunikaty podawały, że mieszkańcy terytoriów okupowanych przez bandytów popierali zbrodnicze hordy, podczas gdy oddziałom rządowym było niezwykle trudno uzyskać choćby najdrobniejszą pomoc ze strony ludności. Coraz częściej i coraz liczniej popierał lud chiński — swych komunistów. A Czang-Kai-Szek musiał werbować przeciw nim coraz to nowe roczniki — posyłać coraz to liczniejsze armie. Nie tylko nie mógł ich pokonać — ale wręcz przeciwnie — komunisty stale wzrastali w siłę.

Późniejsza historia jest nazbyt dobrze znana, by trzeba ją było powtarzać.

Sprawy omawiane przez Kischę, są już dość odległe, nie tyle w czasie, ile poprzez bogactwo wydarzeń, które po nich nastąpiło. Na coraz mniejszym terenie mieszcza się Chiny kuomintangowskie — coraz większy obszar zajmują Chiny ludu chińskiego. W niedługim zapewne czasie grobowiec Sun-Jat-Sena w Nankinie przejdzie w ręce ludzi — którzy realizują konsekwentnie jego testament.

Ale obraz tak plastycznie nakreślony przez Kischę — jeszcze się całkowicie nie rozwił. W takich samych barwach, „bez maski”, trzeba by namalować dziś obrazy Azji i Afryki — tych połaci świata, które gniece jeszcze imperializm. „Chiny bez maski” — to exemplum — imperialistycznej polityki i zdrady rodzimej burżuazji, która bardziej obawia się swego ludu — niż obcej inwazji.



Dzielnica chińska w Hong-Kongu



Hwang Yen — Pragnienie

(Drzeworyt)

* E. E. Kisch, Chiny bez maski. Prasa wojkowska. Warszawa, 1948.

Piotr Pigwa

„JAK NIGDY POLSKA NIE ROSŁA”



W państwowym gospodarstwie rolnym

Nasza gospodarka przypomina młodego, niezmiennie szybko rosnącego człowieka, któremu wszystkiego za mało, któremu nie można nastarczyć, który z ubrania wyrasta, który buty zdiera, który zjada bochenek chleba na śniadanie i mówi — więcej. Głośnie woła — więcej daj, więcej stali daj, więcej węgla daj, więcej cementu daj, więcej mieszkań, daj więcej mięsa, daj więcej tkanin, więcej butów, daj i daj, więcej daj, prędzej daj, bez gadania daj. Daj, bo ja rosnę, bo ja szybko rosnę, daj szybko i przędź, bo ja rosnę tak szybko i przędź, jak nigdy Polska nie rosła — mówił min. Minc na Krajowej Radzie Oszczędnościowej.

Młody, szybko rosnący człowiek woła ostatecznie najgłośniej o mięso i tłuszcz. Wołanie uzasadnione. Na rynku mięsnym i tłuszczowym nastąpiło ostatnio pewne zachwianie równowagi. Przyczyny są proste. Produkcja bynajmniej nie spadła. Nawet przeciwnie — nasze rolnictwo produkuje obecnie 4 razy więcej mięsa i tłuszczu na głowę niż w roku 1945. Ale równocześnie w daleko szybszym tempie wzrosło zapotrzebowanie. Tysiące i setki tysięcy młodych ludzi napłynęło w ostatnich latach do miast do fabryk, do zajęć produkcyjnych. Ożyły zniszczone fabryki, powstają nowe, masa ludzi pracuje w ramach wielkich przedsiębiorstw inwestycyjnych. Przelew setek tysięcy ludzi do zajęć produkcyjnych spowodował, iż zapotrzebowanie na mięso i tłuszcz wzrosło znacznie, niż wzrastała produkcja rolnicza.

Ale wyjście z sytuacji jest. Są nawet dwa wyjścia. Jedno — kapitalistyczne. Można wprowadzić na rynek metody kapitalistyczne. Ceny gwałtownie wzrosną — liczba odbiorców znacznie się zmniejszy. Prywatne sklepy wypelnia się mięsem, wędlinami, tłuszczem. I będą doskonale pozorować, że mamy wszystkiego w bród. A rezultat? Z je-

dnej strony wzrosną zyski drobnych przedsiębiorców, a wzmocni się front drobnej burżuazji, z drugiej strony młody człowiek, czynny produkcyjnie, rosnący tak szybko, „jak nigdy Polska nie rosła”, nie będzie mógł sobie pozwolić na kupowanie mięsa i tłuszczu. Co więcej — monopol na dostawę żywności przejmą znowu i zmonopolizują bogaci chłopcy i prywatny handlarz, a rynek stanie się własnością klas kapitalistycznych i ich interesom będzie podporządkowany.

Jest także inne wyjście — wielka akcja hodowlana, tzw. „akcja H”, prowadzona przez partie polityczne, Ministerstwo Rolnictwa i Związek Samopomocy Chłopskiej. „Jeśli chodzi o „akcję H” — mówił inż. Dumański na ostatnim plenum Zarządu Głównego Z. S. Ch. (22. III. br.) — to składa się ona zasadniczo z dwóch części: z akcji kontraktowania i skupu żywności, oraz z właściwej „akcji H”, tzn. obliczonego na dłuższą metę planu podniesienia hodowli pod względem ilości i jakości.”

Cała ta olbrzymia robota gospodarza przyniesie w rezultacie, choć zapewne nie od razu, pełne zaspokojenie potrzeb „młodego człowieka”, który jest Polską. Ale jak każde działanie gospodarze — ma akcja „H” swoją funkcję społeczno — polityczną. Jest jasne, że skoro realizacja akcji „H” spoczywa w rękach partii politycznych, Ministerstwa Rolnictwa i Związku Samopomocy Chłopskiej — to znaczy równocześnie, że nie spoczywa w rękach bogaczy wiejskich, handlarzy-pośredników i właścicieli drobnych przedsiębiorstw rzemieślniczych, to znaczy, że akcja „H” jest od strony społeczno-politycznej jeszcze jedną z wielu, prowadzonych na rozmaitych frontach bitew klasowych, przeciwko resztkom naszej burżuazji.

„Chodzi nam przede wszystkim o oparcie się w tej akcji na chłopie mało- i średnio-

rolnym, o przyjscie mu z pomocą, o podniesienie zdolności produkcyjnej jego gospodarstwa, o stworzenie poważnej bazy hodowlanej na gospodarstwach biedniackich i średniackich; ta zasadnicza nasza linia jest bardzo często wypaczana przez aparat wykonawczy, który idzie chętnie po linii najmniejszego oporu — utartą drogą do producenta — bogacza wiejskiego, niosąc mu szereg ulg i dobrodziejstw, a nawet udzielając mu zaliczek” (inż. K. Dumański).

Po wyborach do terenowych kół samopomocowych oblicze klasowe Z. S. Ch. znacznie się uwyraźniło. Wiadomo, że na ogólną liczbę 21.710 członków zarządów kół gminnych wybrano 26 proc. biednych chłopów, 44,6 proc. drobnorolnych i 24,5 proc. średniorolnych.

Nowy skład społeczny dolowych ogniw Z. S. Ch. gwarantuje w poważnym stopniu, że całość zadań, związanych z wykonaniem akcji „H” służyć będzie drobno- i średniorolnym chłopom. A zadań jest niemało.

Po pierwsze: zorganizować tysiące zespołów hodowlanych opartych o biedniackie i średnie gospodarstwa. Do niedawna wypełniali związki branżowe w większości bogaci chłopcy.

Po drugie: postawić przed każdym zespołem jasne, określone zadania produkcyjne, to znaczy wypracować plany produkcyjne, idące po szczytach aż do gromady.

Po trzecie: wprowadzić zespoły do współpracy, które ożywi i poszerzy produkcję hodowlaną.

Oczywiście z tymi zadaniami wiąże się szereg innych, zespoły branżowe muszą mieć swój, odpowiednio przeszkolony aktyw przodowniczy. Na terenie gmin i w gromadach musi pojawić się nowy typ przodownika, specjalisty od akcji hodowlanej, tak jak na terenie przemysłu pojawiła się nieznana dotąd kategoria przodowników — „mistrzów oszczędności”. W tym charakterze można użyć sporej części agronomów gminnych Z. S. Ch., bo pewne jest, że „wszędzie, gdzie powstał zespół producentów, lub co najmniej został wytypowany przodownik zespołu, tam akcja kontraktowania idzie bez porównania sprawniej i szybciej, aniżeli w terenie gromad dotychczas niezorganizowanych” — mówił inż. K. Dumański na ostatnim plenum Zarządu Głównego Z. S. Ch.

Zagadnienie utrzymania wysokiej kultury łakowej, konserwacji wykonanych urządzeń melioracyjnych, zabieganie o nowe, budowa silosów, popularyzowanie techniki hodowlanej, pilnowanie akcji kontraktowania żywności, jego dostawy — oto część prac nowego przodownika naszej wsi.

Na odbytej niedawno Krajowej Radzie Oszczędnościowej mówiono, że o tyle więcej będziemy inwestować, przeznaczać pieniędzy na rozbudowę naszej gospodarki, o ile więcej będziemy oszczędzać. Pomysłowości Zielińskiego, ob. Michałka z fabryki Cegielskiego, tow. Witostawskiego z bydgoskiej fabryki „Kabel” i tylu innych robotników zawdzięczamy, że wiele milionów złotych możemy przeznaczyć m. in. na odbudowę rolnictwa. Jeżeli na sam tylko zakup pasz treściwych i prosiat przeznacza w bieżącym roku państwo 300.000.000 złotych, to niewątpliwie zawdzięcza się to wydajnej i oszczędnej pracy klasy robotniczej. Ale ten podarunek zobowiązuje. Zobowiązuje chłopów

do przyjęcia podobnej postawy. Pieniądz nie przychodzi łatwo.

Znaczy to, że zasada surowej kontroli społecznej w rozdziale kredytów pieniężnych, bydląt zarodowego, paszy treściwej itp. pieniądza, który by trafił do wiejskiego bogacza, odegra podwójnie szkodliwą rolę. Raz, że ominię mało- lub średniorolnego chłopca, dwa — zwrócić się właśnie przeciw jego własnym interesom.

„Nie bądzmy, towarzysze, za dobrzy i za liberalni — mówił min. Minc. — Nie zważajmy wszystkiego na ludzką głupotę i naiwność, czy na konserwatyzm i rutynę... pamiętajmy o tym, że czasem za „naiwnym” marnotrawcą, za pozornie głupim marnotrawcą, może się kryć wróg, nasłany do naszego kraju przez imperialistycznych wojennych podżegaczy”.

Akcja „H” jak żadna inna powinna utwierdzić chłopów w przekonaniu, że nie ma win personalnych, ale zawsze są tylko winy wobec narodu. A wystąpią zawsze wtedy, kiedy plan podniesienia hodowli choćby nawet na najmniejszym odcinku, straci swój społeczno — polityczny sens, to jest zatrać swój klasowy charakter.

Oszukiwanie na wadze, wadliwa kwalifikacja żywności, fałszywe informowanie o jego liczbie, niesprawiedliwe stosowanie ulg podatkowych — to są właśnie elementy odchyleń się od klasowego charakteru akcji, pomniejszające w rezultacie dostawę mięsa dla młodego człowieka, rosnącego tak szybko, jak nigdy dotąd Polska nie rosła.

Czymże jest więc akcja „H”, ów wielki długofalowy plan podniesienia hodowli? Polska klasa robotnicza złożyła już pod adresem wsi zapewnienie, że w sześcioletnim planie dostarczy od 50 — 80 tys. traktorów dla rolnictwa, dostarczy wielokrotnie więcej nawozów, niż otrzymywała wieś w najlepszych pod tym względem latach przedwojennych. Robotnicy słowa dotrzymają, ale stawiają przed rolnictwem zadanie zwiększenia produkcji rolnej w ciągu 6 lat o 35—45 procent.

Zatem akcja „H” ustala w wyraźny, sprawdzalny sposób relacje gospodarcze zachodzące pomiędzy klasą chłopską i robotniczą. Zwiększenie produkcji rolnej, w pierwszym względzie hodowlanej, ma niemałe znaczenie społeczno — polityczne.

Jeżeli bowiem plan „H” bazuje na biedniackich i średniackich gospodarstwach — to znaczy, że przekształca, uaktywnia, czyni produkcyjnymi podstawową masę gospodarstw wiejskich, umacnia pozycję drobno- i średniorolnych chłopów w walce z bogaczami. Jeżeli chłopskie zespoły hodowlane będą kontraktować dostawy bydła przy pomocy spółdzielni, rola burżuazji wiejskiej, handlarzy, pośredników skupu znacznie zmaleje. Tu leży sens społeczny akcji „H”, która zaprawia chłopów do zespołowej gospodarki i mobilizuje ich do walki klasowej.

Kraj nasz rosnący z roku na rok, jak młody, zdrowy człowiek — nasz szybko rosnący przemysł potrzebuje i będzie potrzebował maszyn i surowców z zagranicy. Maszyny i surowce możemy otrzymać za artykuły rolnicze.

Tego wymaga dalszy rozwój pracującego w fabrykach młodego człowieka, który jest Polską.

Fritz Jensen

STO MILIONÓW CHŁOPÓW CHIŃSKICH*)

W prowincji Ho-pe pewien chłop opowiedział nam z wielkim ożywieniem historię reformy rolnej. Człowiek ten, którego opowiadanie udało mi się zanotować, był rolnikiem i silny, nosił prostą kurtkę i chłopskie spodnie. Głową owinał sobie białą chustą, a w rękach trzymał japoński karabin, oparty o ziemię. Nie będąc komunistą był jednak typowym przedstawicielem swojego narodu i swojej klasy społecznej. Uczucia jego były uczuciami milionów, a to, co miał do powiedzenia, było wyrazem myśli rozbudzonych w niezliczonych chińskich wsiach.

„Jestem rolnikiem, najstarszym synem Wang Lo Fu. Członkowie naszej rodziny byli od dawna szanowanymi dzierżawcami i pracowali na majątku dziedziców Yin. W naszej małej wiosce, złożonej z 93 rodzin, przeżyłem już 33 lata.

W dobrych latach jedliśmy dwa razy dziennie potrawę z maki sojowej z domieszką kauliangu (północnochińskiej odmiany zboża). Kasza jaglana, fasola, kapusta i droga pszena — mąka były jedyną i rzadką odmianą. Po nadzwyczaj dobrych żniwach, albo też gdy u jakiegoś z naszych krewnych było wesele, jedliśmy przepyszne mięso wieprzowe.

W roku 1930, w roku głodu, umarł mój czełgodny ojciec Wang Lo Fu. Aby sprawić mu godny pogrzeb pożyczylem od Yin Czin Fenga, do którego należała uprawiana przez nas ziemia, 30 srebrnych dolarów chińskich

Pożyty mi je na wyjątkowo dogodnych warunkach, na 30% rocznie. Po kilku latach, chociaż ciężko pracowaliśmy, powiększyła się suma długu, gdyż niezapłacona część odsetek stała się równą pożyczonej przeze mnie sumie. Ponieważ spadł na mnie ciężki obowiązek utrzymywania babki, matki i siostry, nigdy nie miałem na tyle pieniędzy, by spłacić dług i dlatego też nie mogłem pozwolić sobie na posag, kupno podarunków, wiano, poczęstunki i ucztę weselną, bez których, jeśli się chce zachować nasze stare zwyczaje, nie można wprowadzić do domu wybranej kobiety — jako żony.

W 1933 roku, aby uniknąć poboru do wojska, musieliśmy oddać wójtowi Yin Liu Shu ostatnią naszą świnie.

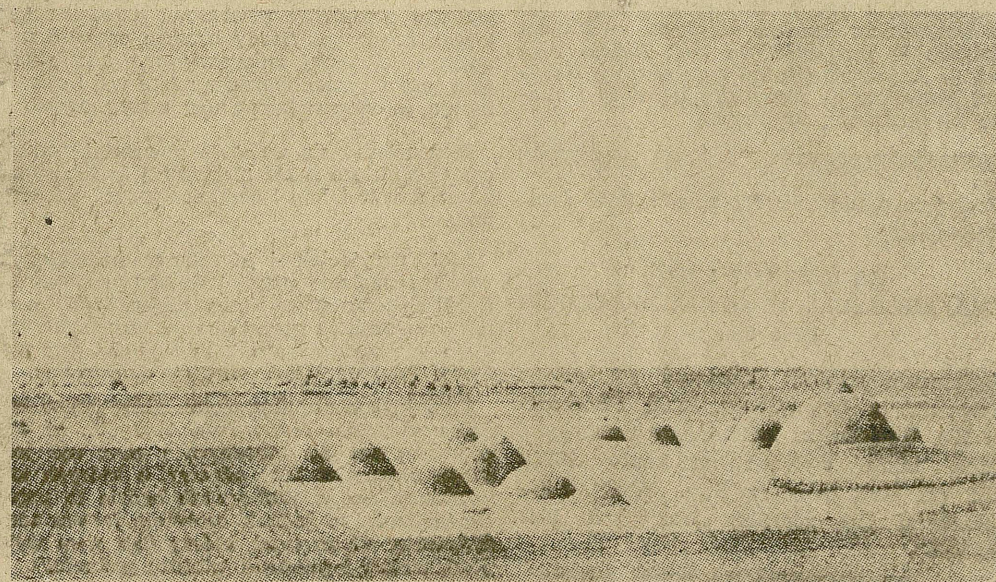
Gdy przyszli japońscy diabli, wzrosły nasze zmartwienia. Wielu młodych mężczyzn wywieziono na roboty na Koryę, do Japonii i Mandżurii. Myślałem często, że są oni szczęśliwi, gdyż wydostali się z tej rozdarłej wojną części naszego kraju. Ponieważ byłem jedynym mężczyzną w rodzinie i zajmowałem się przezornie tylko domowymi obowiązkami, pozostawiono mnie w spokoju. Moja rodzina musiała pracować więcej niż poprzednio, ponieważ Japończycy zabrali panu Yin jego woły. Ciągnęliśmy pług wysiłkiem naszych ciał. Nawet starzy w naszej wiosce do tego stopnia znienawidzili Japończyków, że informowali partyzantów o pojawieniu się i przemarszach tych krótkonogich małp. Ale wieś równocześnie bardzo się niepokoiła tym, że partyzanci przebywali w naszej okolicy, gdyż, jeśli Japończycy starli się z nimi niedaleko wsi, wszystkim naszym domom groziło spale-

nie, kobietom naszym gwałt, a nam — mężczynom — śmierć.

Z wielką radością powitaliśmy klęskę Japończyków na jesieni 1945 roku. Wszyscy mieliśmy nadzieję na pokój i dobrobyt.

Oddziały marionetek oznajmiły, że reprezentują rząd Czang Kai Szeka i zaczęły rozbrajać Japończyków. Następnym tego było od-

nowienie się wojny, tym razem między armią marionetek a partyzantami VIII armii, Marionetki, przeważnie Mandżurowie i Koreańczycy, nie mieli żadnego interesu w tym, aby mordować swych rodaków, woleli żyć i móc wrócić do swych prowincji, aby się w swoim domu dobrze najeść. Doszło do tego, że VIII armii udało się ich pokonać i przyjąć dobrowolną kapitulację wielu ich oddziałów.



Pola na północy Chin

*) Fragment książki „Chiny zwyciężają”, która wkrótce ukaże się w wydaniu Stern-Verlag w Wiedniu.

Gwałtowni wojownicy VIII armii starannie zbierali bronię chińskich i japońskich wojsk.

Z partyzantami przyszło wielu nieuzbrojonych mężczyzn i kobiet. Jeden z młodszych mężczyzn pozostał z nami. Rozmawiał ze starszymi rolnikami wsi i po jakimś czasie, kiedy już nas wszystkich poznał, wezwał mieszkańców na zebranie. Zachećło ono ludność wsi do dalszych zebrań. Na zebraniu tym mówiono całkiem otwarcie o zniesieniu dzierżawy, o zniesieniu długów, o wyborze nowego wójty, o organizacji szkoły we wsi i o utworzeniu milicji obywatelskiej. Dużo było takich zebrań, na których traciliśmy nasz czas, gdyż nowa władza upierała się przy tym, że kobiety mają te same prawa co i mężczyźni. Nieraz mruczałem pod nosem, powtarzając rozpowszechnione zdanie, że pod starym rządem byłoby 10.000 rodzajów podatku, pod komunistami zaś 10.000 zebrań.

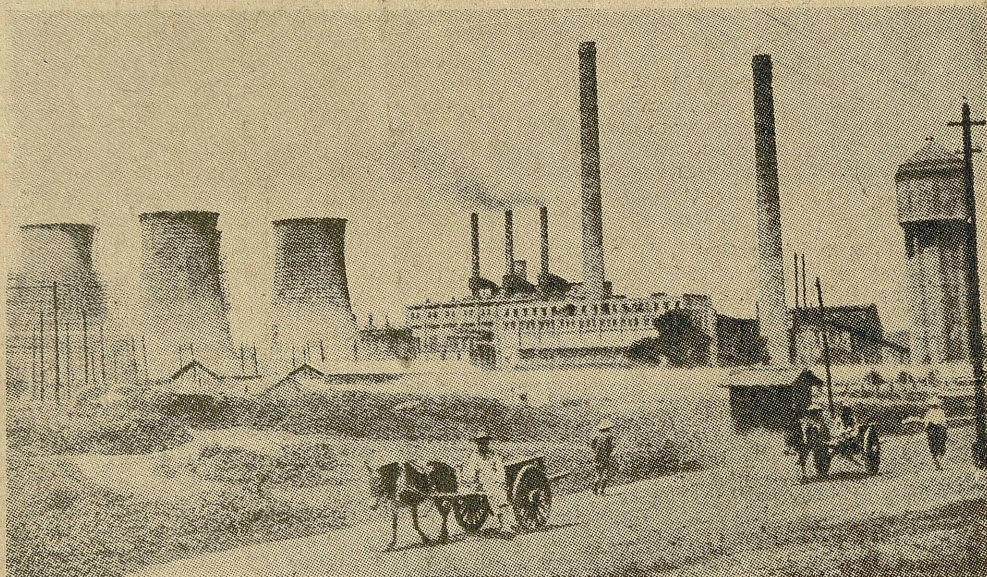
Pewnego dnia odbyło się duże posiedzenie, na którym omawiano konieczność natychmiastowego zniesienia wszystkich długów oraz obniżenia dzierżawy. Mimo, że sam miałem dług, wydawało mi się, że takie postępowanie nie jest szlachetne. Poprosiłem o głos i powiedziałem: „Ziemia będąca w posiadaniu innego człowieka zachowała przy życiu całą naszą rodzinę, młodych i starych. Dlaczego

re ciąża na tobie od czasu, gdyś pożyczył pieniądze, aby opłacić pogrzeb twego czcigodnego ojca? Było to przed 16 laty. I po tylu latach spłacania jesteś winien jeszcze więcej niż w dniu zaciągnięcia pożyczki! Czy jest to zgodne z twoim sumieniem?”

Gdy usłyszałem te słowa, izy napłynęły mi do oczu, „Nareszcie zrozumiałem cię — rzekłem — jutro pójdę do rodziny Yinów i ureguluję swoje długi”.

Gdy przyszedłem do domu dziedzica Yin, dowiedziałem się, że Yin Czin Feng uciekł do Tientsinu. Odniosłem wrażenie, że jego krewni nie przykładają wielkiego znaczenia do długich rozmów z mną. Ugodziliśmy się, że dług będzie uważany za spłacony po dostarczeniu im kilku kur.

Podobnie załatwiły swe sprawy wszystkie 93 rodziny, mieszkające w naszej wsi. Długi zostały uiszczone i robiliśmy przygotowania do podziału ziemi należącej do rodziny Yin i do trzech innych mniejszych dziedziców. między nas — dzierżawców. Robiliśmy to pod przewodnictwem Fa Pei, który został wybrany prezesem naszego związku rolników. Sprawiedliwy rozdział ziemi nie był rzeczą łatwą. Początkowo zostawiliśmy rodzinie Yin więcej, niż jej się należało i dopiero po trzykrotnym



Przemysł południowej Mandżurii

mamy teraz nagle uznać wszystkie długi za nieważne i dzierżawę obniżyć?”

Gwałtowny i bezwzględny stary Fa Pei krzyknął na mnie: „Ziemia jest rzeczą martwą. Gdybyśmy jej nie uprawiali, nikt nie byłby w stanie zebrać z niej ani jednego ziarna. Gdyby stary Yin Czing Feng miał nawet 800 mu ziemi, umarłby z głodu bez naszej pracy! Zauważ-no wreszcie kto kogo utrzymuje?”

Pomimo to odpowiedziałem: „Nawet jeśli byśmy rozmawiali w ten sposób, uważam, że obniżenie dzierżawy przemocą i uznanie długów za niebyłe jest niezgodne z moim sumieniem”.

Również niektórzy inni zebrani myśleli jak ja: wtedy stary Fa Pei powiedział: „Co to jest sumienie? Czy przypominasz sobie długi, któ-

powracaniu do podziału (zawsze po żniwach) rozdzielono wreszcie ziemię w sprawiedliwy sposób. Aby to jednak przeprowadzić, musieliśmy zwołać wiele z tych sławetnych 10.000 zebrań.

Każdy członek mojej rodziny otrzymał po 3 mu. Tak więc dostaliśmy w sumie 12 mu ziemi. Podatki wynoszą 20% zbiorów. Dla pierwszych zasiewów były one nieco mniejsze. Lepiej zarabiając możemy pozwolić sobie na lepsze pożywienie. Mogliśmy również kupić sobie wołu za zaoszczędzone pieniądze. Ostatnio dokupiliśmy 10 mu ugoru.

Ponieważ nowe nasze prawa zakazują przeprowadzania transakcji handlowych przy zawieraniu związków małżeńskich, mogliśmy już przesłać 30 lat, posłubić dziewczynę z sąsiedniej wsi. Od dawna patrzyliśmy na siebie bardzo przychylnie, za każdym razem, gdy spotykaliśmy się na polu lub w drodze do miasta. Wesele nie kosztowało nas dużo. Musiałem dokupić dwa pokoje, a miesiąc temu powiła moja żona ładnego syna, białego i tłustego. Myślę, że obecny tryb naszego życia bardziej odpowiada sposobowi, w jaki mężczyzna żyć powinien.

Życie nasze jest w dalszym ciągu skomplikowane. Nowy rząd wymaga od nas, abyśmy pomagali przy transporcie rannych i przy przewożeniu materiałów wojennych. Kopyemy rowy i burzymy stare japońskie fortyfikacje. Jesteśmy przekonani o konieczności utrzymania ziemi w naszym posiadaniu oraz o konieczności utrwalenia naszego obecnego położenia. Zostałem wybrany komendantem milicji obywatelskiej i ćwiczę z moimi ludźmi codziennie rano i po robocie, zaprawiając się w używaniu karabinu, bagnetu i granatów ręcznych. Często odbywamy nocne marsze, czasem z oddziałami milicji z innych wsi, aby walczyć przeciwko powrotowi dziedzica Yin i jego żołnierzy. Wtedy brzęczą czasami nad naszymi głowami zniecierliwione amerykańskie samoloty, bombardują nasze wsi i ostrzeliwują je ogniem karabinów maszynowych.

Nauczyłem się w nowo powstałej szkole czytać niektóre znaki pisma i ze ściennych gazet zrozumiałem bezsensowność zabobonów.

Moji przyjaciele i ja mamy nadzieję, że wkrótce nastanie pokój i że będziemy wtedy mogli zbierać owoce naszej pracy. Wydaje się nam również, że raczej poświęcimy nasze życie, a nie wrócimy do tego co było, gdy żyliśmy, jako obciążeni długami dzierżawcy.

Dziś jestem obrońcą ziemi, którą nasza rodzina uprawia. Nowy rząd twierdzi, że doprowadzi nas do dobrobytu i choć nie jest łatwo zrozumieć jego odezwy, z których zawiadamia się, w jaki sposób będzie to przeprowadzone, to jednak oświadczenie jest zdecydowany iść za tymi, którzy dali nam wolność, ziemię i poczucie własnej godności”.

Tłumaczył E. M.

NIEZNANE LISTY LE

(Dokoczenie ze str. 3)

ski, komploty, ze szkodą sprawy naszej narodowej, przeciw jednemu biedakowi, z którego sami sobie coś zrobili ci, którzy powiadają, że im zawadza — przeciw biedakowi, który nie przez swoich osobistych, ale przez przyjaciół sprawy narodowej popchnięty i wypchnięty naprzód, na sztych wystawiony, przez jednych zdradzony, przez innych uwodzony, chytrze ludzony; nieszczerze, niechętnie lub niedbale w pracy wspierany, od tchórzliwych i obojętnych opuszczony, patrzy na te dziwne rzeczy i zdarzenia boże!

Kiedy woła, powiadają że milczy; kiedy nie działa, upatrują jego niesłychaną czynność; kiedy nie może nic zrobić, wyrzucają mu, że powinien; kiedy działa, to nikt w pomoc, nikt wspólnie, ale na wszystkie zastawki w przeszkody; wołają potrzebny jesteś, nie ustępuj, ale dają ci — zawadzasz nam. Rozpuszczone sfory, a hu, a hu! ujadają. Nie w ostepach, ale w otwartym polu prawdziwie oszczwany, jakimi uczuciami przejęty być mogę, Tobie Wojewodo do odgadnięcia zostawiam.

Nie zastanawiałem się wcale nad tym, jakie by to mogły być chosy blamables pana d'Argout, ale mnie domysł wojewody naprowadza na drogę. Tak, nie inaczej: to są nasze obrady sejmowe. Pewnie ostrzeżono ministrów francuskich, że wprowadzał propozycję jakobińską, dla powszechnego pokoju niebezpieczną. Dobrze to cudzoziemcom i taką drogą zaufanie i fawory ministrów zyskiwać. Listy z Paryża postraszyły mnie, że wojewoda zamyslał swoją sejmową gromadkę na 24 lutego zwoływać. Uwierzyłem temu. Bo kto się sam ludzi i drugich ludzi usiłuje, a sam w niezmordowanej i nieukożonej niespokojności zostaje. Ale pytam, cui bono? tute się mamy i na nowe donosy do Pana d'Argout zarabiać? Czy już 33 podpisało oświadczenie, że są na zawołanie do elekcji prezesa i sesji sejmowej? Jeśli tego niema, to my rozpedzemy pewnie się nie stawimy. Jeśli zaś w innych celach, nie sesji sejmowej, wojewoda gromadzi, w zastępstwie jej braku i bardzo chwalebny zamysł, ale na takim zebraniu nam rozpedzonym znajdować się nie wypada, a to dlatego, żeśmy rozpedziliśmy i dlatego, że z naszego położenia do nieczego dobrego inicjatywy dawać nie powinniśmy. Wojewodo! bronimy się od tej inicjatywy, a będziemy zmuszeni ją dać. Ja też siedzę i bardzo mi dobrze. Prawdziwie nie milszego nad tę ciszę, nad tę osobność, którą znalazłem. Dziwnie szybko momenta schodzą. Raz tylko na polowanie na króliki z Mikołajem wyszedłem. Sześć królobójstw popełnił: różnie, uduszeniem lub strzałem. Trzech przed strzałem uszło. Wreszcie lektura i pisanie mnie zajmuje. Czytam *La conquête d'Angleterre par les Normands*. Oh! jaka być powinna nauka dla wszystkich nas, dla arystokratów i juste milieu, dla generałów, wojewodów, posłów; dla układających się, odrębiających stroniących, etc. etc.

Ale wracam do mojej cichości. Radbym w niej wiekował: wszakże przemyslałem, gdzieby się obrócić. Żeby mógł tę cichość z mojej jałmużny opłacić, tobym się nie troszczył, ale siedzieć długo na cudzym chlebie wcale sobie nie życzę. Przemyslałem tedy, jak się obrócić i to cały jeden kłopot mój.

Polecam się wzajemnemu sercu. Sługa Lelewel. Wojewodzinie moje uszanowanie. **Dopisek.** D. 10 lutego niedziela rano. George¹⁾ przyjechał, do jutra rana bawi. Śniadaliśmy razem i z nim obiadować będziemy. Zajęty jest gwardią i czemś drugim sensacyjnym w Rosji, a przy tem gospodarskimi rachunkami, na które się wczoraj Lecuier²⁾ gotował.

7 J. LELEWEL, JESZCZE LA GRANGE 25.II.1833, DO ANT. OSTROWSKIEGO W FONTAINEBLEAU.

Szanowny. Wojewodo! Nie wiem czy list ten zostanie w Fontainebleau, nie będzie gońił do Paryża. I radbym, żeby tam zastał, może z tej podróży wypadłoby co pożytecznego dla konf... konf... do to zakończeń dopisać można! ale ja o Konfederacji myślę. Wspomniał mi Wojewoda, że do protestacji Rouen w sprawie naszej coś tam Poullin należał. Jeżeli to tak jest, Poullin musi wiedzieć, kto podpisał, kto dał do publikaty. Choć jednego drugiego z podpisujących imię i adres radziłbym wiedzieć. Wypadałoby mi do nich wolnym czasem napisać. Upraszam tedy Wojewodę, ażeby będąc w Paryżu wypytał się o to u Poullina.

A także jeszcze ważniejszą mam prośbę do Wojewody, aby za swej bytności w Paryżu wymiarkował, jak też przedko bez kłopotenia innych mógłbym osnać. W kwietniu już będę miał moje dziełko do druku, a raczej dwa dziełka, do których i sztychy trzeba wygotować i korektę dopilnować, bo oprócz liter zwykłych i kulaś rozmaitych w druku stawiać przyjdzie. Niepodobna jest na kogo w tej mierze się spuścić tym bardziej, że bez moich osobistych ułatwień toby i drukarzowi duży kłopot się pomnożył.

Moje monotonne życie wcale mi się nie sprzykrzyło. Tyle mam zajęcia, tyle do pułstelnicznej pracy projektów, że mało na to roku. Był kiedyś w Warszawie Fintyniec pułstelnik z Krakowskiego Przedmieścia. Był inny³⁾ co wśród stolicy na ulicy Długiej pod Nr 540 musiał być pułstelnikiem. Raz przez pół roku był pułstelnikiem w duchu i grube

1) Georges Lafayette, syn generała Marii Józefa.

2) Lecuier — u Więckowskiej przekrecono na Lecuier, Por. Więckowska op. c., str. 110.

tomy wówczas zbudował. Do pułstelnictwa zaprawiony, pewny jest, że i w pustelni w La Grange nigdy by mu się nie sprzykrzyło. I prędzej by go Polska niepodległa do powrotu zwołała, nimby swe zatrudnienie pułstelnicze skończył. Ale to nie może być powodem do rozkoszowania bez końca w La Grange. Trzeba mi stąd ruszyć, a to w tych dniach. Już i tak za długo siedzę, za długo nadużywam dobroci Lafayette'a. Pewny jestem, że to nie jest zadługo dla niego, ale za długo dla mnie. Wilk tuczyony chce się na porcję chudoby wyrwać. Chociaż koresponduję niekiedy z Lafayette'em, narazie odpisuję Wojewodę, aby ustnie odemnie Lafayette'owi podziękował za jego gościnę i przeprosił, że się z takim zaufaniem intronitował.

Kiedy puszcza się na tulaństwo po departamencie, do którego mam paszport, możebym znowu zajrzał na kilka dni do Fontainebleau. Ale to będzie zależeć, jeśli mi Klimaszewski raczy zapewnić, że choć które z dzieł, o które się dopytywałem, w bibliotece się znajduje i jest przystępne dla Jokiela⁴⁾. Bo zaglądając do Fontainebleau, wołałbym sobie pod innym siedzieć imieniem, jak to raz było, jak i indziej tentuje. Moje uszanowanie, Lelewel. Hłuszniewiczowi piękne ukłony. Że też do mnie nie nie pisze.

1) Lelewel ma tu na myśli siebie samego.

2) Jokieli — pseudonim, jakiego używał Lelewel odwiedzając bez zezwolenia władzy A. Ostrowskiego w Fontainebleau.

8 J. LELEWEL, LA GRANGE 3.III. 1833, DO ANT. OSTROWSKIEGO W FONTAINEBLEAU.

Pisze mi Hłuszniewicz że się Panu Władysławowi¹⁾ odezwa do Węgrów nie podobala²⁾. To być istotnie może, a nawet może być nie warta, bez życia, pełna komunałów, tak jak ja sam cenzuruję, ale żeby miała być pełna plautudów, to niedobrym sercem Marszałek wyrzekł. Co się z nią stało, nie wiem dotąd. To pewnie, że druga droga lepiej już powinna była dojść i wiadomość być o dojeździe. Oryginał przysłał Wieszczycki³⁾. Przesyłał mi na ręce Borczyckiego, deputowanego. Tu z La Grange pisałem do Wieszczyckiego, czy niema jakiej wiadomości, co się stało, i odpowiedzi nie otrzymałem. Jest szczególna rzecz, że tylko z Fontainebleau i Paryża mam otwarte komunikacje. Wreszcie co tylko pisałem, gdzie do Zakładu, jak w ziemię wpadło, nie wiem, czy podochodziło.

Naszych panów sejmowych oponentów owoc dla mnie dojrzewa. Wielekroć protestowałem się i narzekałem, że przewlokami niegodziwymi, próżnym ludzeniem, zatrzymując nas w Paryżu, gubią nas. Wołowski, Jelowicki, Wojewoda, Ledóchowski swoim wyczerpywaniem środków pomagali silnie do tego położenia, w jakim się dziś znajduję. Niech Wam Bóg nie pamięta, bo co ja, to zapomnę nie mogę. Wczoraj, dnia 1 marca przybył do mnie rano maire Court-Palais z zaświadczeniem, że ma rozkaz ode mnie paszport odebrać, aby ten był Gisquet⁴⁾ nazad odesłany. Z exekutorem rozkazów nie było się co spierać i dyskutować, oddałem, na co kwitek otrzymałem.

Wczoraj uwiadomiony jestem z Paryża, że mam otrzymać paszport inny, za którym będę się musiał udać w głąb Francji. Nie wiem czyli wiatr się zmieni, trzeba gdzieś ruszać, może w kilka godzin za rozkazem albo przeciw rozkazowi. Na rozstajnych jestem drogach, pytam się Wojewody ośmielić, co mam robić? Czy zostać na lądzie i pelzać z innymi, czy ustępować za morze? pytam o rychłą radę i odpowiedź. Dalej czy się może *toute notre docilité* prowadzić na sejmowych obradach, niechże nam teraz dopomóc nadbieży dobra ale nieponiżająca rada.

W nocy przybył do La Grange Pan Georges (Lafayette), dzisiaj zaszedł do mnie rano, opowiadając gniewy D'Argout, jak się ciska o to, że był w Fontainebleau: jak jest gniewny, że przebywał w Paryżu etc. etc. Dołączył perswazję, abym jechał 80 lieues w głąb Francji, to będę spokojny. Dużo mnie to obruszyło, wruszyło. Powiedziałem, że *dans le moment de terreur*, kiedy po 20. młodzieży szkolnej na Sibir wysyłano, po 100 oficerów na Sibir wyprawiano, kiedy wtedy wzbrowniony mi był pobyt w Wilnie, nie byłam nigdzie *confiné*, mogłem jeździć, nie pytając o niczyje pozwolenie, po całym kraju, pod jarzmem moskiewskim będącym. Niepodobna by było, abym uległ podobnemu losowi we Francji; że za tym oczywiście w niej pozostać nie mogę. Dzięki za to wszystko Panu Bonawenturze⁵⁾, Wołowski i innym. Proszę o krzyżyk na drogę. Lelewel.

1) Władysławowi Ostrowskiemu.

2) Mowa tu o „Odezwie Komitetu Narodowego do Węgrów”, wydanej staraniem Lelewela 31 grudnia 1831 roku. Por. „Polska, dzieje i rzeczy jej rozpatrywane przez Joachima Lelewela”. Poznań (Zupański) 1864, t. XX, mowy i pisma polityczne, str. 95—99.

3) Wieszczycki Rudolf, poseł, znany karbonar na emigracji, trzymał z Lelewel, mieszkał w Tours.

4) Ciquet, prefekt policji paryskiej. Leleweliowi odebrał paszport zezwalający na pobyt w rejonie Paryża, toteż zrozpaczony historyk przemyslał nawet o wyjeździe do Anglii lub Ameryki Północnej.

5) Bonawenturze Niemolewskiemu, Franciszkowi Wołowskiemu.

W NUMERZE 13 (192) TYG. „WIEŚ”

z dnia 28 marca 1949 r.

Władysław Blahut — „Niezależna partia chłopska”; Petr Jilemnický — Kronika (Wiatr wraca); Piotr Chmura — „Terra, non guerra!”; Kazimierz Piwarski — Narod francuski: pragnie pokój; Jerzy Waleńczyk — Wiersze; Jan Zygmunt Jakubowski — Nowa historia literatury; J. Lukacs — „Humanizm w sztuce”; Konstanty Grzybowski — Realna i nierealna polityka wobec Niemiec; Witold Łukasiewicz — Emigracja po powstaniu listopadowym (1831—1834); Maria Staromyska-Hessenowa — Rozmowa z Marychą z Rekawka; Józefa Witowska — W księżym domu; Maria Szewgrub — Psychologia dziecka wiejskiego; Emma Altberg — Muzyka nie dla wszystkich; Paulina Czyżowa — Młodzi działacze — publicyści; Aniela Wyreba — A jednak obrona kapitalizmu; Krzysztof Sławiński — Nowe drogi; Fakty i zdania; 25 ilustracje; 12 stron.

Jest jeszcze do nabycia pewna ilość roczników „Wsi”

**ZA ROK 1947 I 1948
CENA ROCZNIKA W OPRAWIE WYNOŚI
1500 ZŁ.**

Zgłoszenia prosimy kierować na adres: Administracja tyg. „Wieś”, Łódź, Piotrkowska 133. Wysyłka za zaliczeniem pocztowym, można także wpłacać na konto PKO: Łódź VII 1080, Redakcja Tyg. „Wieś”, z zastrzeżeniem „za rocznik „Wsi” rok 1947 ew. 1948”.

ADMINISTRACJA TYG. „WIEŚ”

LEWEŁA

9. J. LELEWEL, LA GRANGE BLENAU
5. III. 1833, DO ANT. OSTROWSKIEGO
W FONTAINEBLEAU.

Szanowny Wojewodo! Kończąc obrachunki od pięciu lat zabył, pan Georges (Lafayette) bawi od soboty, niedziele, poniedziałek i wtorek. Więc mi i niektóre godziny od zwykłych robót, od listów są oderwane. Zaczę człowiek radzi nie opuszczać La Grange. Wiele wszakże mam powodów do życzenia, abym jak najrychlej La Grange opuścił. Człowieka położenie zawsze jest niesłychanie skomplikowane.

Wczoraj, a dziś rano odjechał, był u mnie Beniowski¹⁾, o którym pewnie Wojewoda wiele słyszał. Był z projektem, który mnie dużo do smaku przypadł i dlatego to dziś do Wojewody piszę, aby nań myśl swą obrócił. Mu propozycja przyniesiona będzie. Życzy Beniowski, aby w Paryżu utworzyć głosno Komitet Emancypacji Izraela, złożony z Polaków i Francuzów, samych chrześcijan, i on się do chrześcijan liczy. Ale ludzie święcących się, toby część i w Brodach, i w Berdyczowie, i w Brześciu, i w Livorno i w Londynie znaleźli. Rzecz (wysoko) filantropiczna. Czyżby projektowany na sekretarza polskiego, albo spotka Wojewodę w Paryżu, albo z tym projektem do Fontainebleau pojedzie i o wszystkim głębiej się sprawi, rady, konsensa i współnictwa wojewody wzywać będzie. Nie wątpię, że znajdzie nie tylko posłuchanie, ale przyzwolenie.

A ja nie przestaję jednego śpiewku: Wojewodo! potrzeba nam związku sejmowego, konfederacji. Zawsza odbieram pytania, wszędzie oczekują, nad Rhodanem, Odrą, nad Bugiem, w Karpatach i u podnóża Jury. Wszędzie oczekują. Miałem widzenie, że tego potrzeba. Jeśli dowiedzę, objaśnić nie umiem — nie mogę, trzeba trochę wiary. Tylem zapowiedział, ziszcilo się, tyle śladów masz Wojewodo przed sobą, że to dobrze przyjęte będzie i ich nie widziś. Ja je widzę, rozumiem, pojmuję; Wojewoda nie chce ich odgadnąć; bieda moja, że nie umiem, że nie mogę tyle ich wydobyć, ile je pojmuję.

Jakby to ja powinien teraz z awantury Skibickiego frymarkować! Ja com trzech złośliwych do Galicji wysłał, którzy Komitet Lwowski i obywateli galicyjskich okradli podług pięknego zapewnienia Bulewskiego. Quous-que? Polecam się stałym względem i moje uszanowanie i atencje Szanownej familli składam sługa Lelewel. Kolega Bonaventura moje słowa do Januskiewicza²⁾ z powodu ostatniej kanonady Bema wziął do siebie! Sądzi że jego jednego miał na myśli, gdy wspominał o tych, co nas z kraju wyprowadzili. Chce mi odpisywać. Rzecz godna śmiechu, a podobno mi się.

¹⁾ Beniowski Bartłomiej, żyd z pochodzenia, przechrzta, znany radykał na emigracji, głównie w Anglii od r. 1834, gdzie był silnie związany z ruchem robotniczym. We Francji trzymał się Lelewela, który z niego często żartował z właściwą sobie ironią.

²⁾ Januskiewicz Eustachy, znany wydawca czasopism i ksiązek polskich na emigracji. W tym czasie wydawał „Piełgrzyma Polskiego”.

10. LELEWEL, LA GRANGE 7. III. 1833:

Odebrałem dziś od Szanownego Wojewody małą reprymendę; przypada ona mi do serca, bowiem że z dobrego jego serca pochodzi. Trudno się było radzić wtedy kiedy Wojewoda w Krakowie przebywał, a trudniej jeszcze kiedy do Paryża zjechał, bo bardzo prędko się w stanowisku nie najpożądanych dla nas postawił. Trudny stał się przystęp. Ale cośmy w Komitecie zrobili, tego nie żałujemy; mam nadzieję, że było z konsekwencją; a listy jakie odbieram od Francuzów różnego koloru są tego niemałym dowodem. Nie ja jeden jestem od policji tak ścigany. Jeden Hluszniewicz tego nie czuje; zależy to od maira Fontainebleau. A jak mnie w swej opiece, tak mają Rykaczewskiego, Przeciśzewskiego, Wodzińskiego, Zwierkowski, Chodźkę¹⁾, tylko ich przedzieł uchylili w swe łapki. Ja i Zwierkowski wymykaliśmy się dłużej. Dziś mnie przydławił, że Zwierkowski może być gorzej. A że na mnie więcej niż na innych się sroży, to nic dziwnego i za to na osobliwą nie zasługuję reprymendę. Niechby Ci tej reprymendy słuchali, co mnie naprzód wypchnęli. To tak jest Szanowny Wojewodo... Ale przez to wszystko bieda, że nie ma którejś zejść z głównej linii operacyjnej, czyli nie ma którejś dezertować. Człowiek rad nie rad musi stać, jak ów żołdat moskiewski, któremu własne koczactwo zejść z placu nie daje.

Od dni kilku mam gości w La Grange. Wczoraj, bawiący od soboty, pan Jerzy (Lafayette) wyjechał, a nawet wczorajszego dnia przybyli państwo La Tour Maubourgostwo. Dziś dzień cały bawia, jutro jadą do siebie. Rozповідаłem im wiele o Rosji, upewniałem że lepiej na Syberii niż w Ołomuńcu, bo oni Ołomuńiec dobrze pamiętają. A nigdy nie przestane powtarzać śpiewka Wincentego Niemcewskiego: „wole Mikołaja niż Austriaka”. Polecam się stałemu względem, za zbyt częste listowe komunikacje nieskończenie przepraszam. Z Londynu będzie tego niesłychanie rzadziej. Sługa Lelewel.

¹⁾ Członkowie Komitetu Lelewela, który został w końcu grudnia 1832 r. rozpuśćony przez władze francuskie za kontaktowanie się z karbonarami francuskimi (Buonarrotti, G. Cavaignac) i za wyrażanie syntezy „Odezwę Komitetu Narodowego do Rosjan”.

Władysław Błachut

Z DZIEJÓW NAUCZYCIELSTWA POLSKIEGO.

Pismo

dla

NAUCZYCIELI LUDU.

Rok 1845. — Zeszyt pierwszy.

Kilka słów o „Pismie dla nauczycieli Ludu i dla Ludu polskiego”)

przez

Nauczyciela elementarnego
E. Estkowskiego.

Od dawna uzalaliśmy się, zwłaszcza my nauczyciele po wsiach i małych miasteczkach, że nie mamy w naszej prowincji własnego pisma czasowego, z któregośmy się pocicali, i raz po raz dowiadawali: co się po innych szkołach

¹⁾ Wielu z nauczycieli elementarnych uczyniło nam uwagę, że prospekt na nasze pismo, wydrukowany w Nr 26. Tygodnika „W. I. E. Ś.” nie doszł w stylu popularnym, a więc ogólnie nauczycieli elementarnych przystępnym jest pismo. Tu spowodowało redakcyjną do wezwania jednego z ich grona, znanego i swego rodzaju wykładu, by mógł być prospekt naszego pisma raz jeszcze powtórzony.

Red. P. d. V. L. P.

Strona tytułowa „Pisma dla nauczycieli Ludu i dla Ludu polskiego”

U powszechnienie szkolnictwa elementarnego wśród mas chłopskich na ziemiach polskich kroczyło różnymi drogami, ale zawsze sprawa ta pozostawała w ścisłym związku z panującymi stosunkami społecznymi i ekonomicznymi i politycznymi.

Od ostrożnej inicjatywy postępowych meżów stanu i uczonych statystów z ostatnich lat naszej pierwszej niepodległości, a zwłaszcza z okresu Sejmu Czteroletniego, do zorganizowanych i z tych czy innych względów popieranym przez „oświecone” rządy zaborcze wysiłków naszych towarzystw oświatowych, problem kształcenia powszechnego pozostawał w ścisłym związku z dziejami państwa i państwa z dziejami chłopskimi na stopniu elementarnym w każdym okresie i we wszystkich zaborach zaprzętał umysły naszych postępowych publicystów, uczonych i działaczy społeczno-kulturalnych.

Stosunkowo najwcześniej, bo jeszcze przed oddziaływaniem wolnościowych wpływów „Wiosny Ludów”, zagadnienie to wyłoniło się na ziemiach b. zaboru pruskiego, a mianowicie w Wielkim Księstwie Poznańskim, gdzie już w roku 1845 ukazuje się pierwsze na ziemiach polskich „Pismo dla nauczycieli Ludu i dla Ludu polskiego”. Zapoczątkowany już w dobie napoleońskiej proces uwłaszczeniowy wcześniej aniżeli na innych terenach ziem zabranych usamodzielniał gospodarstwo wieś wielkopolską i poznańską. Sposób przeprowadzanej tam regulacji stanu posiadania chłopskiego związał wieś z plebanią i dziełem — posiał atmosferę kompromisu i ugody.

Tolerancyjna do czasu polityka władz zaborczych, stosunkowo najwyższa stopa życiowa chłopów gospodarujących (przy największej ilości w tym czasie bezrobotnych w zaborze pruskim), duży zastęp oddanych spraw i uświadomionych narodowo działaczy kulturalno-oświatowych, stworzyły w W. Ks. Poznańskim atmosferę najbardziej wówczas sprzyjającą podjęciu na szerszą skalę postępowania kulturalnego wśród pogrążonych w ciemności i zacofaniu chłopów wielkopolskich, tych, w rękach których znalazły się po uwłaszczeniu wielkomorowe gospodarstwa.

Na przeszkodzie w szybkim i planowym rozwoju tej chwalebnej akcji stanął jednak brak odpowiednio wykwalifikowanych naukowo i przygotowanych zawodowo kadr nauczycielskich, które umiałyby znaleźć wspólny język z chłopem i jego dzieckiem.

W tej sytuacji rolę instruktora i doradcy awangardy nauczycielskiej wzięło na siebie „Pismo dla nauczycieli Ludu i dla Ludu polskiego”, na łamach którego obeznani z terenem pionierzy nauczania elementarnego wśród dzieci chłopskich, dzielili się swymi wrażeniami i doświadczeniami z nowymi kandydatami do trudnego zawodu nauczycielskiego.

Już w pierwszym zeszycie tego niewielkiego rozmiarów, lecz bogatego w treść pismka, znajdujemy w artykule wstępnym pt. „Kilka słów o piśmie dla nauczycieli Ludu i dla Ludu polskiego”, napisanym przez „nauczyciela elementarnego” E. Estkowskiego, ciekawe rozważania na pasjonujący do dziś aktualny temat roli inteligencji na wsi.

„Wielu z nas — pisze Estkowski — nauczycieli mało, a nawet nie umie po niemiecku, nam więc potrzebne do postępu nie niemieckie pismo szkolne, choćby było i najlepsze, ale polskie...”

Pismo to nie może być li szkolne, mówiące np. tylko o szkołach, metodach i różnych wiadomościach, dotyczących się samej szkoły wyłącznie, lecz musi ono mówić i o naszym ludzie, o jego dobrych i złych przymiotach itp., bo kto poznał dobrze lud, poznał i jego dzieci, a kto poznał dobrze dzieci i ich rodziców, potrafi je też dobrze wychowywać...”

Zastanawiając się nad tematyką nowego czasopisma, Estkowski formułuje szczegółowo grupy zagadnień, jakie na łamach „Pisma dla

nauczycieli Ludu...” muszą znaleźć swój wyraz. Będą to przede wszystkim:

„...artykuły wzbudzające i rozwijające w nauczycielu miłość bliźniego, a w szczególności miłość ku naszemu ludowi, ku ziemi, mowie, zwyczajom ojczystym itd...”

Są bowiem nauczyciele, którzy pogardzają gminem, chłopem, biedniejszym mieszczańinem lub chłopskim życiem... Uważają oni w grubej pomyłce, że przez zbliżenie się do chłopów lub biedniejszego mieszczaństwa zanadto by siebie poniżyli... Taki nauczyciel nie może i nie powinien wychowywać chłopskich dzieci...”

„Dlatego zatem będzie pismo to w pierwszej swej połowie starało się, aby nauczyciele poznali jak najdokładniej lud, jego zwyczaje, cnoty, wady i całe życie, aby go szczerze kochali i po bratersku się z nim obchodzili i aby swą miłość i dobre chęci okazali w czynach, jak wychowywali i sposobili dzieci w szkole na pracowitych i poczciwych ludzi...”

Na łamach pisma dla nauczycieli ludu drukowane miały być artykuły

„dające nauczycielowi pojąć ważny jego urząd i stanowisko w społeczeństwie jako nauczyciela. Coraz już dziś więcej ludzi uznają, że nauczyciel jest jedną z najważniejszych osób w kraju i narodzie...”

„Ze zaś lud nie może tam być dostatecznie oświecany, gdzie nauczyciel i ksiądz, i przy tym dziedzic lub jego zastępca stronią od siebie, przeto pismo to starać się będzie usilnie, dać trzem tym ważnym w gminie osobom poznać ich ważne obowiązki i wzajemny ku sobie stosunek. Starać się będzie zapoznać i złączyć ich ze sobą ku wspólnemu sobie dopomaganiu w oświecaniu ludu...”

„Usilnym też staraniem pisma będzie, by ksiądz poznał wartość istotną nauczyciela i nie pogardzał nim, ani się dumnie z nim obchoził...”

Pismo wystąpiło z inicjatywą zbliżenia księdza i pozyskania go dla współpracy z nauczycielem wiejskim. Stojący bowiem na najniższym w ówczesnym pojęciu szczeblu hierarchii urzędniczej, nauczyciel ludowy traktowany był ze szczególną pogardą przez ogół stanowo nastawionego duchowieństwa, które do niedawna miało monopol wygodnego kształtowania się nie tylko dusz, ale i umysłów chłopskich. Nie znajdował on również należnej oceny w oczach oderwanego od wsi i kroczącego własnymi drogami dziedzica, który nie dostrzegał nauczyciela i w najlepszym razie utrzymywał bliższe (choć też nie za bliskie) stosunki z plebanią.

Pismo dla nauczycieli ludu pragnie za wszelką cenę zmienić ten układ gry sił panujących na wsi. Estkowski w liście „oświeconych” chce wprowadzić obok ziemianina i plebana — nauczyciela.

„Dobry dziedzic najlepiej przyczynia się do oświecenia gminy i podniesienia jej do bra, gdy nie pogardza nauczycielem i księdzem, ale ich wspiera, gdy unika wszelkich procesów i zwad z gminą, godzi obrażone osoby i oświeca je w sądownych ich sprawach, gdy w każdym razie jest względem gminy sprawiedliwym i dopomaga jej jak może...”

Gdy tym sposobem będzie łączył się nauczyciel, ksiądz i dziedzic, jako trzej oświeceni w gminie meżowie, znający i pełniący swoje obowiązki względem ludu, będzie wzrastała w całej gminie oświata, miłość, zaufanie, cnota, swoboda i szczęście...”

Droga zdobycia przez nauczycielstwo autorytetu społecznego prowadziła nie tylko przez przekonywanie ziemian i proboszczów, również przez krytykę. Proces uwłaszczeniowy w Wielkim Księstwie Poznańskim (w kilku etapach) miał już za sobą 20 lat. Wstrząsł on pozycją szlachty i plebanii. Wymagał przestawienia folwarków na kapitalistyczną gospodarkę, rozszerzenia i podniesienia oświaty elementarnej na wsi.

„Skąd pochodzi, że wielu jeszcze kapłanów mylnie pojmuje stanowisko nauczyciela ludowego?” Tak brzmi tytuł innego artykułu w tym samym numerze, wypełnia go dialog między młodym nauczycielem a postępowym kapłanem, który zdecydowanie potępia zacofanych księży i grozi im karami boskimi:

„...Nauczyciel: Skąd pochodzi, że kapłani tak mylnie pojmują stanowisko nauczyciela ludowego?”

Ksiądz: Z zaprzeczenia się swego mistrza Chrystusa Pana.

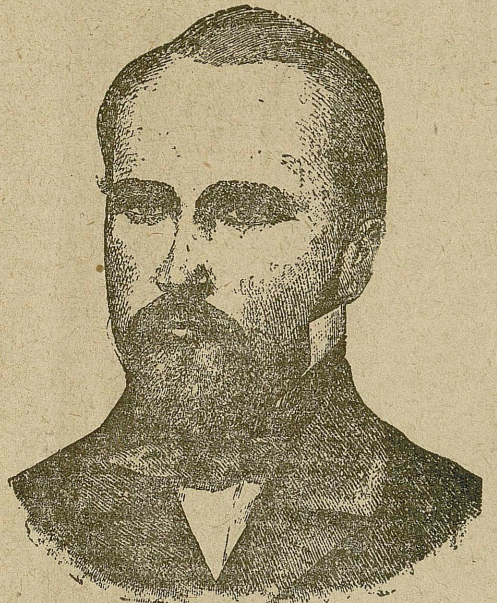
Nauczyciel: A przecież mienią się być Jego uczniami i następcami?

Ksiądz: Tak, są nimi, ale zamiłowawszy świat, jego próżność, nie chcą widzieć mistrza swego w cierpieniach, tylko Go szukają w powierzchownościach, a tak stali się przewrotnymi i zaprzali się Go.

Nauczyciel: Prawda jest, że ubliżają swemu wielkiemu powołaniu! Mówią przecież, że nie na czyn, ale na naukę, której udzielać uważają należy...”

Ksiądz: Z boleścią wyznać i mnie przychodzi, że złe, które się zakradło pomiędzy drogich mi współbraci, jest okropne i zupełnie zapominać się zdają, iż w Duchu i Prawdzie, a nie wsty faryzejskimi uwielbiają Pana! Przeto wyliczają powinności chrześcijanina, człowieka — czynem stwierdzone być winny... Tymczasem jedni zamiłowali przepych i zbytki i te stały się ich Bogiem, inni gospodarstwo i wszystko połączone z nim, i to ich Bogiem. Drugi zaś sięgnęli się w nierządny życiu i swemu bożyszczu przynoszą ofiary, owych chciwość ogarnęła i swego Boga w szkatułę zamknęli!

Nauczyciel: A więc oprócz tych bożyszcz pewnie reszta jest niczym w ich oczach?



Ewaryst Estkowski (1820—1856)
pedagog, redaktor „Pisma dla nauczycieli Ludu i dla Ludu polskiego”

Ksiądz: Tak — i widzisz Aści, skoro taki kapłan zobaczy nauczyciela z wyższym pojęciem, lepszym usposobieniem, nie mogą się ich dążenia pogodzić, a stąd nie-nawieść i nieporozumienia...”

Nauczyciel: Przecież oni mając oddaną władzę w swoje ręce używają jej na pogębienie, używając tej władzy i tych wpływów, które między otaczającymi nauczyciela urzędnikami prędzej mieć mogą, jak nauczyciel biedny, skazany na szczupły dochód kilkudziesięciu talarów i kilku wiertel zboża...”

Krytyka ta spotkała się z nieprzychylną oceną w terenie. W następnym numerze redakcja zamieściła głos nauczyciela z pow. średzkiego, który ostrzega przed gniewem i zemstą duchowieństwa i odradza toczenia z nimi wojny, równocześnie raz jeszcze przeprowadza zjadliwą ocenę tego duchowieństwa:

„...Panie Redaktorze! Ty nie jesteś dla wielkiej części duchowieństwa osobą miłą. Bezstronny czytelnik wie dobrze o tym, żeś nigdy ani przeciw religii, ani przeciw moralności, ani nawet przeciw ogólnemu duchowieństwu nie występował, lecz żeś tylko tu i ówdzie nadużył, egoizm i wszystko zle coś spostrzegł karci...”

Trzeba żyć z nimi, aby poznać ich gruntownie. Ksiądz, którego zaczepisz, któremu co do osobistości jego prawdę powiesz, będzie wołał, żeś w jego osobie religię, żeś Boga samego obraził...”

Z własnego doświadczenia musiałem Ci, Panie Redaktorze, zwrócić uwagę, iż są między nimi tacy, którzy dla Twojej osoby jedynie potępiają Twoje dzieło i wzbraniają się przyjąć je dla Ludu. Dlatego sądzę, iż byłoby nieroztropnie, gdybyś nadal jakiegokolwiek wycieczki i zarzuty przeciw nim do tego pisma miał przyjmować. Zaręczyć Ci mogę, iż pierwszy już numer Twojego pisma od niektórych z nich z największą niechęcią przyjęty został, ponieważ tam są niektórzy przeciwni księdom zarzuty. Są nareszcie tacy, którzy utrzymują, iż nikomu o oświacie ludu troszczyć się nie wolno, gdyż to jest rzeczą księży jedynie...”

Tak, Panie Redaktorze, są jeszcze ludzie, którym nie tyle chodzi o oświatę, o poprawienie moralności itd. u ludu, lecz o to jedynie, by ich wpływ nie uciepiał...”

Jeżeli więc chcesz przyjąć do swego pisma, Panie Redaktorze, te moje uwagi, niechajże to już ostatnia będzie polemika przeciwko księżom w tym piśmie. Nie dla Twojego interesu, Panie Redaktorze, lecz w interesie Ludu naszego i Nauczycieli, dla których pismo Twoje może stać się tak bardzo korzystnym, postanów raz na zawsze nie zaczepiać tu w niczym księży naszych, gdyż to jest jedynie sposób, aby pismo Twoje tak jak potrzeba we wszystkich parafiach rozprzestrzeni się mogło...”

Siła rewolucyjnego działania tego, aczkolwiek postępowego na owe czasy, pisma była słaba, oparta bowiem na tych samych przesłankach, które przeświecały w programie regulacji stosunków włościańskich. Postawa kompromisu i ugody pomiędzy dworem, plebanią i szkołą stłumiła w zarodku myśl śmielszą i bardziej niezależną.

Proces uwłaszczeniowy rozbił wieś na część małą na gospodarach i olbrzymią całkowicie sprostęziarowaną. Masy chłopstwa bez ziemi zostały wyciągnięte za kordon. Na przestrzeni trzydziestu lat, do r. 1948, w masach bezrolnych wrzalo podniecenie, które swój prawdziwy rewolucyjny wyraz znalazło w rewolucji 48 r. i bitwach chłopskich.

„Pismo dla nauczycieli ludu” powstało w innych kręgach, nastawionych na lud, który w nowych przemianach znalazł się w pomyślnych warunkach.

Ta część była stosunkowo nieliczna i w pierwszej dopiero fazie, utrzymywała się na gospodarstwach przeciw własnej chłopskiej konkurencji. Stąd poparcie musiało iść dla plebanii i dworów. Postępowość liberalna Estkowskiego i Redakcji musiała liczyć się nadal z siłami starymi i ich ewolucją w kapitalizm.

K. Kawecki

Z DZIEJÓW NAUCZYCIELSTWA RADZIECKIEGO*

Lenin w 1913 roku pisał w artykule „W sprawie polityki Ministerstwa Oświaty Ludowej”: „Rosja jest biedna jeżeli chodzi o wynagradzanie nauczycieli ludowych. Płacą im nędzne grosze. Nauczyciele ludowi głodują i marzną w nieopalanym i prawie nie nadającym się na mieszkania izbach. Nauczyciele ludowi mieszkają razem z bydłem, które wieśniacy zabierają zimą do izby. Nauczycieli ludowych gnębi pierwszy lepszy urzędnik, wiejski czarnosecinec, lub ochotniczy „ochronnik” i szpicel, nie mówiąc już o prześladowaniach i udrękach ze strony zwierzchnictwa” („Dziela zebr.” wyd. III, t. 16, str. 412). Nie były wyjątkami takie oto doniesienia prasowe: „W wiosce Wyższy Mikołajewsk Ufka gubernia, zastrzelił się z rewolweru nauczyciel wiejskiej szkoły Fiedorow. Przyczyna — nędza” (tygodnik „Szkoła i Życie”, 1911 r.). 14 numer gazety „Szkoła i Życie” z 1911 roku donosi: „Dwie nauczycielki wiejskie ze wsi Rybice zostały zawieszone w swoich czynnościach przez St. Petersburgski Urząd Ziemski i przeniesione zostały w ciągu 24 godzin do odleglejszych szkół. Okazało się, że przyczyną przesunięcia było nieodanie ukłonu kierownikowi szkoły F. Nikicinowi”. W numerze 19 „Saratowskich Eparchialnych Wiadomości” z 1915 r. wydrukowano „arcypasterskie słowo” saratowskiego archiereja Pałudija, skierowane do ówczesnych nauczycieli szkół cerkiewno-parafialnych: „Większość z was” — pouczał archierej — „działalność swoją przejawia na polu cerkiewno-szkolnej twórczości. Niech Pan obdarzy was osiągnięciami! Ale szkoły cerkiewno-parafialne szczególnie obecnie mają braki w dobrych nauczycielach śpiewu cerkiewnego. Tego potrzebuje nie tylko szkoła, ale cały nasz prosty wierzający lud”. Po stwierdzeniu tego arcypasterz przechodził do oznajmienia, że on specjalnie kłopotuje się o organizację nauczania na wsi. „W całej diecezji wybitnie źle śpiewają „Bóg gospod” drugim głosem”. Oto w czym widziano główny uszczerbek szkoły. A minister oświecenia narodowego Szyszkow mówił: „Nauki są pożyteczne tylko wtedy, jeżeli się ich jak soli używa i wykłada w miarę mając wzgląd na stan ludzi i ich potrzeby. Uczenie alfabetu całego narodu lub jego przeważającej części przyniosłoby więcej szkody aniżeli korzyści”. W innych latach P. Leontiew, współpracownik

* Omówienie zagadnienia na podstawie książki: „Droga nauczycielstwa ludowego” M. Panicza, Moskwa 1948 r.



nik ministra oświecenia narodowego D. Tołstoj, pisał: „Jeżeli Rosja przeciwstawiała się dotąd jeszcze z powodzeniem duchowi czasu, winniśmy to zawdzięczać do pewnego stopnia analfabetyzmowi narodu rosyjskiego. Za naszych czasów założenie klasztoru jest pożyteczniejsze od fundacji dwóch uniwersytetów i setki realnych szkół”. Obskurant K. P. Pobiedonoscew orzekł: „Bezwarunkowo złem jest rozszerzanie nauczania ludowego”.

Tak się przedstawiały stosunki szkolnictwa na wsi rosyjskiej, a stanowisko reprezentantów caratu, jak wykazują cytaty, było cyniczne. Ustrój bazował na powszechnej ciemnocie.

Kiedy zbliżała się pierwsza wojna imperialistyczna, stosunki na terenie wiejskiego szkolnictwa pogorszyły się. W 1913 roku asygnowano na potrzeby nauczania początkowego wyniosły 10 milionów rubli, a w 1914 już tylko 3 miliony rubli.

Głównym przedmiotem w szkole wiejskiej była religia. Udzielanie dzieciom wiadomo-

ści z geografii, historii, przyrody uważano za nieobowiązkowe. Wysuwanie na pierwszy plan przez rząd i synod cerkiewno-parafialnej szkoły i podtrzymywanie kierowniczej roli duchowieństwa było oparte na przekonaniu, że tylko duchowieństwo jest w stanie złagodzić niebezpieczeństwo, które mogłoby powstać pod wpływem oświaty ludu. Toteż po rewolucji wśród licznych problemów, jakie pojawiły się przed nauczycielstwem ludowym, jednym z najważniejszych był następujący: jak i czego uczyć. Najpowszechniej stosowaną metodą było bicie.

Warunki pracy były straszne. Dzieci były odrywane przez rodziców do zajęć gospodarskich. Kiedy następowały mrozy, okazywało się, że nie wszystkie mają ciepłe ubrania, w izbie szkolnej atrament zamarzał w kałamarzach. Nie trudno było w takich warunkach przejąć się niechęcią, gorzkniciem, przekształcić się w czehowskiego „człowieka w futerale”. Książek nie było. Nauczyciel mógł sobie pozwolić tylko na pozostawianie po lek-

cjach z inteligentniejszymi dziećmi w klasie i czytać im na głos z jednego egzemplarza. Ten pierwszy rok wojny w pamięci nauczycieli odżywa jako rok różnych rozgoryczeń i niepowodzeń. Nauczyciel musiał biec często 2—3 km do sąsiedniej wsi, gdzie mieszkał kuliak wiejski, aby wyprosić od niego trochę drzewa i nafty. Trudno było się przyzwyczaić do niestałego składu dzieci. Nawiazywał kontakt z rodzicami, budził zaufanie do swojej osoby, kazał uczniowi czytać na głos przy rodzicach lub powiedzieć jakiś wierszyk i wskazywał na cel i korzyści nauki. Czytanie i pisanie — mówili starzy we wsi — dla biednego jest zbyteczne. „Cóż z tego, że mądry, kiedy jeść nie ma co”. Ale w poręwolucyjnej wsi umiejętność czytania i pisanie zaczęto cenić wysoko i tym samym stał się cenny nauczyciel. Były to wyniki zmiany społecznych stosunków i nowej polityki kulturalnej. Dnia 5 czerwca 1918 roku na zjeździe wszechrosyjskim nauczycieli, Lenin wezwał nauczycieli do zorganizowania armii oświaty socjalistycznej. „Należy uwolnić życie i wiedzę od niewoli kapitału i jarzma burżuazji”. Nie można ograniczyć się do wąskich ram działalności nauczycielskiej. Nauczycielstwo winno sprzągnąć się z masą walczącą, pracującą. Zadaaniem nowej pedagogiki jest związanie działalności nauczycielskiej z zadaniem socjalistycznej organizacji społeczeństwa” („Dziela zebr.” wyd. III — t. 23 — str. 66). Jednym z podstawowych elementów zmiany stanowiska szkoły do życia był fakt, że szkoła stała się świecką, wolną od wpływu cerkwi.

Rola nauczyciela wiejskiego w podnoszeniu kultury życia wsi radzieckiej okazała się ogromna i do jakich rezultatów mogła dojść, zaświadczyła druga wojna światowa, bohaterstwo Armii Czerwonej i narodów Zw. Radzieckiego, wielki ich wysiłek w pracy i walce o wolność własnej ojczyzny i wyzwolenie od najeźdźcy faszystowskiego wielu narodów, dla których rozgromienie Niemców i faszystów równało się zdobyciu wolności politycznej kraju i wolności społecznej dla mas ludowych tych narodów.

A przecież nauczyciele rosyjscy, którzy zaczęli swą pracę po wsiach w pierwszych dziesiętkach XX wieku, w okresie przedrewolucyjnym nie wiele więcej wiedzieli od swych uczniów. Nie słyszeli w większości o Biełińskim, Czernyszewskim, Hercenim, o Uszyńskim. W ówczesnym systemie przygotowania do zawodu nauczyciela ludowego uważano za niebezpieczne poznawać z literaturą pedagogiczną i postępowymi ideami.

Czesław Zieliński

LIST DO „WSI”

Chcę się podzielić z Czytelnikami i towarzyszami pracy z innymi kopalniami, z innymi również gałęzią produkcji, moim doświadczeniem. Niektórzy myślą, że pracuję ponad miarę i wydobywam z siebie ostatnie siły. Niektórzy myślą, że mam najlepsze narzędzia i najlepszą pomoc. Niektórzy myślą, że pracuję dodatkowo w niedzielę i stąd mój urobiek, albo dodatkowo po czasie.

Otóż oświadczam:

1. Pracuję normalnie, bez specjalnego wysiłku fizycznego. Posiadam normalne narzędzia pracy.

2. Nie pracuję dłużej niż przewidziany ustawą normalny roboczy dzień.

3. Nie pracuję też w niedzielę. Mam własny dom i ogródek, w którym spędzam większość wolnego czasu.

Jak to się więc dzieje, że pracując normalnie, wydobywam jednak 6 razy więcej węgla ponad normę?

Na wstępie chciałbym zaznaczyć, że to co ja robię, może robić każdy inny górnik. Pracowałem na kopalni we Francji, niektórzy więc myślą, że sprowadziłem ten sposób wydobywania z Francji. To nie jest prawda, gdyż we Francji nie stosują strzelania w ścianę tylko młoty pneumatyczne.

Opowiem więc, jak przebiega mój dzień pracy.

Przyjeżdżam do pracy o godzinie 6 rano. Wsiadam do windy i zjeżdżam na dół. Droga od klatki do ściany trwa pół godziny. Słyszałem, że za granicą górnicy tracą o wiele mniej czasu na dojazd, gdyż dojeżdżają w podziemiu rowerem. Kto wie, czy i u nas nie można by było tego zrobić. Wtedy byłbym o wiele wcześniej przy ścianie.

Ścianę mamy z tzw. pokładu Antoniny, poziomą, węgiel niechce sobie. We Francji taki węgiel jak u nas byłby na wagę złota. Przyступuję od razu do wiercenia.

W tym czasie, kiedy ja wiercę otwory w ścianie, ładowacz mój, z którym razem pracuję (nazywa się Tadeusz Kwiatkowski), a który również przychodzi punktualnie do pracy, bierze się do sortowania drzewa. Kiedy on ma ukończone sortowanie drzewa, wtedy ja mam zakończoną pierwszą „kape”, czyli 4-metrowy odcinek ściany gotowy do strzelania.

Kiedy ja mam ukończoną „kape”, a Kwiatkowski ma ukończone sortowanie drzewa,

wtedy zjawia się strzałowy (nazywa się on Emil Pilny i jest rzeczywiście pilny), — zakłada materiał wybuchowy i zapala lonty.

Po wybuchu wracamy na miejsce. Wtedy biorę kilof, a ładowca bierze łopatę. Po zerwaniu węgla budujemy. Zerwanie węgla, ładowanie i zabudowanie trwa u mnie przeciętnie 15 minut.

U moich kolegów zaś trwa na ogół pół godziny, a niekiedy nawet godzinę. Żadnych tajemnic przy tej robocie nie ma. Po prostu szybko i sprawnie Kwiatkowski ładuje, a ja buduję. Pierwszą „kape”, czyli pierwsze 4 metry, kończę o 7-mej. Niektórzy moi koledzy dopiero o siódmej zaczynają w ogóle pracować. Dziwią się też, że ja mam wtedy ukończoną...

Kiedy ja jestem już przy ostatnim stemplu obudowy, nie kończę tej roboty, ale biorę się znów do wiercenia. W tym czasie Kwiatkowski kończy moją obudowę, a ja już wiercę nowe cztery metry, czyli nową „kape”.

I znowu, kiedy Kwiatkowski ma ukończoną zabudowę, ja mam ukończoną strzelanie. I wtedy znowu przychodzi strzałowy, ładuje materiał wybuchowy i zapala lont. Tak pracując wszystkie 7 godzin bez specjalnego wysiłku fizycznego, ale rzetelnie i uczciwie wy-

korzystując każdą minutę, wydobyliśmy w miesiącu czerwcu zamiast ustalonej normy 8 ton dziennie — 42.

No dobrze, powiecie, ale dlaczego inni tak nie pracują jak ja?

Odpowiem. W swojej pracy stosuję dwie nowe rzeczy, które zwiększają bardzo znacznie wydajność i tym chciałbym się podzielić z kolegami.

Przede wszystkim:

— NOWY SPOSÓB STRZELANIA

Na ślaskich kopalniach moi koledzy strzelają dość chaotycznie, bez systemu, wiercą otwory w ścianie bez planu, bez pomysłu. Postanowiłem ułożyć sobie plan wiercenia. Nie tracę na wiercenie ani jednej minuty więcej, a jednak dobywam niepomniernie więcej węgla. Wiercę otwory systemem klinowym, to znaczy, że po zrobieniu jednego otworu u dołu ściany, odmierzam na oko 80—90 cm, drugi otwór wiercę w środku, trzeci znowu od środka pod górę stropu.

Takich otworów wiercę 6 do 8. Niektórzy moi koledzy robią bezplanowo 12. Mój sposób wiercenia zapewnia mi o wiele większy urobiek i lepszą jakość węgla, gdyż po wybuchu urabiają się z tych klinów duże bryły, a nie miał.



Dyrektor Zieliński przy pracy

Ładowacz, z którym pracuję, nie dźwiga łopatę pół metra od ziemi do rynny. Ustawiliśmy rynnę w ten sposób, że węgiel spada obok niej na równym z nią poziomie i nie jest ładowany, ale jest dosuwany łopatą do rynny, bez nadmiernego wysiłku ładowacza. W ten sposób osiągamy maksymalne wykorzystanie techniki z minimalnym wkładem siły fizycznej. I dlatego też ładowanie trwa tak krótko.

Dotychczas bowiem inni koledzy-górnicy ładowali łopatami węgiel do rynny i tracili ogromną ilość energii i czasu. Ustawienie tych rynien w taki sposób od razu podnosi wydajność pracy.

Wydaje mi się, że można ten pomysł zastosować w każdej innej kopalni o podobnych pokładach.

Kończę pracę i wychodzę na powierzchnię równocześnie z innymi górnikami.

Pyta mnie, czy tylko w pomysłach tkwi „tajemnica” mojej wydajności.

O mojej wydajności decyduje — po wprowadzeniu tych pomysłów — przede wszystkim dobra organizacja pracy. Pracujemy we dwóch, ale każdy z nas ma określone zadanie, określoną odpowiedzialność i jeden drugiemu nie przeszkadza. Kwiatkowski nie pilnuje ze mną drzewa i nie tracimy przeto w dwójkę niepotrzebnej ilości czasu. Dostałem siekierę i ładowacz przy jej pomocy ociosuje drzewo. Wtedy, kiedy on ociosuje drzewo, ja mogę spokojnie wiercić. On uważnie śledzi za moją pracą, ja zaś obserwuję przebieg jego roboty. I ta obopólna i zgodna praca sprawia, że nie tracimy ani jednej minuty na niepotrzebne i nieproduktywne czynności.

Muszę tutaj zaznaczyć, że bardzo wiele w naszej pracy zależy od dostawy drzewa. Po przyjeździe do kraju byłem nieco zdziwiony: oto bowiem we Francji, gdzie jest bardzo mało lasów, nie zdarzyło mi się nigdy na kopalni, żeby zabrakło drzewa do budowy, natomiast u nas, w kraju, gdzie mamy tyle lasów, mam ciągle kłopoty z dostawą drzewa.

Pomysł z rynną został przyjęty na mojej ścianie przez wszystkich kolegów, którzy zaczęli również stosować klinowy system wydobywania. I oto np. kolega Cyron, który zastosował w czasie mojego urlopu obydwa pomysły, wykonał normę w wysokości 701 procent.

Ciesze się z tego bardzo, że znaleźli się znowu współzawodnicy, którzy zechcą ze mną walczyć o większą wydajność i wydobywanie. I tak Jan'cki, Paszek, Mason zaczynają przekraczać powyżej 300 i 400 procent normy. Sądząc, że po opanowaniu mojej metody osiągną taką samą wydajność jak ja, a może i większą.

* Patrz art. M. Niewiaroskiego. — „Bohater naszych czasów” — „Wiś” Nr 9, omawiający pracę górnika Cz. Zielińskiego. Przypominamy, że Zieliński został powołany na stanowisko dyrektora kopalni. (Przyp. Red.)

Paulina Czyżowa

„T W Ó R C Z O Ś Ć”

„Twórczość” jest jedynym w Polsce miesięcznikiem literacko-krytycznym, toteż każdy numer tego pisma ma szczególną wagę dla naszego życia literackiego, tym bardziej, że tygodniki z dużym opóźnieniem i nie zawsze systematycznie notują fakty literackie. Podziwiać przy tym należy, że miesięcznik umie utrzymać pewną ogólną aktualność krytyki, nie rezygnując nawet z okazjonalności. Prawie każdy numer „Twórczości” rozpoczyna się pod znakiem jakiegoś ważnego wydarzenia kulturalnego. Numer 2 poświęca wstępnemu artykule uroczystości wręczenia dyplomu doktora honorowego Uniwersytetu Jagiellońskiego Leopoldowi Staffowi. Sprawozdanie przytacza odczyt K. Wyki o poezji Staffa. K. Wyka jest umiejętnym panegirystą jubileuszowym. Oczywiście podobnie okazjonalny odczyt nie mógł być rozprawą krytyczną, a jednak i w ramach panegirycznego przemówienia można było dać więcej konkretnej analizy poezji i postawy twórczej sędziwego poety, który wzrastał jako poeta w okresie Młodej Polski i nie uległ jej fatalnym błędom, jakie zaciążyły na poezji naszej jeszcze do dzisiaj.

Numer 2 „Twórczości” przynosi szereg interesujących rozpraw krytycznych. Niestety są one tak różne co do metody krytyki, że wydają się niewspółmierne w czasie. Ujemnie odbija się na krytyce „Twórczości” fakt, że jest to typowe pismo redaktorskie, nie reprezentujące żadnej grupy lub choćby orientacji krytycznej. Co kto napisze w Polsce ważnego i o tzw. „poziomie”, zmieszcza się w „Twórczości”. Wynika stąd eklektyzm charakterystyczny dla tego pisma i o tyle trudny do uniknięcia, że jest ono jedynym pismem krytycznym w Polsce.

W trzech rozprawach krytycznych zawartych w numerze widzimy trzy absolutnie odmienne sposoby widzenia literatury. Wacław Kubacki dopisuje do impresji krytycznej Sandaiera o Leśmianie drukowanej w r. 46 w „Odrodzeniu”, komentarz” bardziej naukowo uzasadniony, nie wychodzący jednak poza formalizm badawczy. Interesuje Kubackiego filozoficzne znaczenie motywów i figur poetyckich Leśmiana, stwierdza natomiast, że Leśmian „tworzył poza epoką”. Jeśli kiedy wyszedł z swej buddyjskiej pustelni poetyckiej, to chyba jeno po to, żeby się zgorszyć, iż ludzie nie mają nic lepszego do roboty, jak martwić się i łamać głowy nad pytaniem: „jak ustalić w niebiec byt ekonomiczny”. Takie ujęcie poezji Leśmiana niewiele chyba wybiega poza tę krytykę, o której wspomina Kubacki, że będąc obciążona młodopolskimi tradycjami „pielegnowała” ezoteryczną izolację poety. Artykuł Kubackiego na dobrą sprawę powinien być wstępem do interpretacji społecznej formalnego obrazu poezji Leśmiana. Jako katalog motywów poetyckich Leśmiana jest bardzo cenny. Niewątpliwie może się przyczynić do rozładowania pewnego mitu „czystej poetyckości”, z jakim wiąże się w opinii inteligencji nazwisko Leśmiana.

Druga z rozpraw literacko-krytycznych to artykuł Tadeusza Peipera o Lope de Vega. Jest to typowy dziś nieco anachroniczny esej literacki, w którym wolno mówić wszystko i o literaturze i o kobietach, byle ładnie i z wdziękiem. Przy tym artykuł o tyle aktualny, że sztuka Lope de Vegga „Pies ogrodnika” grana była dotychczas w Warszawie a obecnie w Łodzi. Styl tego życiorysu literackiego odznacza się egzaltacją, z jaką mówi się o zjawiskach literackich w wyłączonych grupach różnych cyganerii artystycznych. Przykład: „Działala w Vedze prometejska siła, pokrewna tej, jaka dwadzie lat później działała w Mickiewiczu i odezwi się najgoręcej w wielkiej improwizacji Konrada”. Uderzająca jest dysproporcja i absurdalna niewspółmierność porównywanego faktów.

Pełne inny stosunek do literatury wynika z pierwszej części rozpraw Marii Żmigrodzkiej „Kwestia chłopstwa” Elizy Orzeszkowej. Autorka jest młodą badaczką literatury, marksistką. Praca omawiana jest nowatorska jako fragment marksistowskiej interpretacji polskiego pozytywizmu, którego Orzeszkowa jest typową przedstawicielką. Mimo pewnej uniwersyteckiej sztywności praca Żmigrodzkiej odznacza się logicznym i doskonałym językiem prozy, będąc „naukową” jest ciekawa, nie obca publicystycznemu zacięciu. „Kwestia chłopstwa” nie jest tu prostym tematycznym wyimkiem twórczości pisarskiej, jak to bywa w tradycyjnych rozprawach filologicznych. W stosunku Orzeszkowej do tej kwestii społecznej w różnych okresach twórczości rysuje się rozwój społecznej świadomości pisarki, będący jednocześnie rozwojem polskiej myśli pozytywistycznej. Wyniki badania tej sprawy będzie można ująć lepiej dopiero po ukazaniu się drugiej części rozpraw Żmigrodzkiej. W części pierwszej omówiła ona „Obrazek z lat głodowych”, będący debiutem pisarskim Orzeszkowej, naiwny i próbujący „uczułwieczyć” chłopca przez nominację na bohatera romansu” o sercu czułym i szlachetnym, dalej beznadziejnie pesymistyczną społecznie powieść „Niziny”, w której Orzeszkowa odkrywa proletariatu folwarcznego, następnie nowelę: „Echo” i „Tadeusz”.

W bogatych zwykle „Sprawozdaniach” „Twórczości” tym razem znajdujemy jedną tylko, ale niezwykle ważną recenzję. Aniela Łempicka omawia „Dwie biblioteki tekstów i komentarzy”. Chodzi tu o „masowe” wydawnictwa literackie przeznaczone dla szkół i placówek oświatowych. Są to: „Biblioteka Arcydzieł Poezji i Prozy” pod redakcją Stanisława Pignonia, wydawana przez firmę M. Kota w Krakowie i „Biblioteka Pisarzy Pol-

skich i Obcych”. Spółdzielni Wydawniczej „Książka”. Autorka recenzji omawia wydawnictwa popularne raczej z punktu widzenia zawodowca specjalisty, a mniej od strony odbiorcy. Szczególnie trafna i ważna wydaje się jej ocena komentarzy i wstępów krytycznych do wydań popularnych. Jest to dziś istotnie najbardziej czołowa oddziaływająca robota badacza literatury. Wzorową przedmową do popularnego wydania tekstu literackiego wydaje się autorce recenzji przedmowa Mieczysława Jastruna do „Poezji Wybranych” Norwida. W zakończeniu słuszne wątpliwości recenzentki co do polityki wydawniczej uwzględniającej trzy dotychczas

Piotr Chmura

O paru tygodni wychodzi popularne pismo dla wsi (2 razy w tygodniu) pt. „Gromada”. Przeglądam je z zainteresowaniem i radością. Jest bo się czym cieszyć. Pismo podejmuje próbę powiązania się z najszerzymi masami chłopskimi, jako jego **możliwymi** czytelnikami. Wysiłek redakcji wyraźnie został skupiony nad urzeczywistnieniem tej możliwości.

W pismach innych, również zalecających się popularnością, jak „Chłopska Droga”, „Chłopi”, „Zielony Sztandar” występują dwie cechy: 1) adresowanie do działacza (już gotowego), i najczęściej z określonej organizacji zawodowej czy politycznej, 2) osaczenie czytelnika bogatym serwisem informacyjnym (z wielu zakresów), który nieomal konkuruje w tej ambicji z gazetą codzienną.

Otóż w tych dwu podstawowych punktach zagadnienie adresata rozwiązuje redakcja „Gromady” zupełnie inaczej.

Czytelnik „Gromady” to nie gotowy działacz, a ten z wielomilionowej masy chłop, który przez „Gromadę” może nim zostać i może się przekonać, że być działaczem ani to trudne, ani trudne, a właśnie dla niego **możliwe**.

Z ducha gazety wyprowadza redakcja „informacyjność”. Ale organizuje ją przeciw duchowi codziennej gazety. Trzeba bowiem zdać sobie sprawę, że co innego jest głód informacji na wsi, a co innego sposoby informowania. Pisma codzienne zalewają czytelnika informacjami i to równocześnie z wielu dziedzin. Z dnia na dzień przybyszą nowe i przybyszą ich mnóstwo. Tym, który ma się w gąszczu wiadomości zorientować, jest ostatecznie czytelnik. Pisma codzienne (pod tym względem) z pozoru są łatwe. Naprawdę wymagają wcale dużo od czytelnika.

Redakcja „Gromady” trud zorientowania się w morzu informacji bierze na własne barki. Ona porządkuje i hierarchizuje wiadomości z tygodnia. Czytelnik otrzymuje uporządkowany przegląd w postaci maleńkich felietoników. Przegląd ten nie jest już ani zbiorem informacji, ani zbiorem ocen. Tworzy za każdym razem spójną całość. Jest to przegląd **rozumowany**, najwłaściwiej trafiający do chłopca z rzeszy milionowych. Bo właśnie ten chłop leka się zawrotu głowy od wielu informacji. On słuszenie nie chce „rozmatłocić”, z którymi nie wie, jak sobie poradzić.

Józef Pogan

KLIN W GŁOWACH BIEDOTY

Częstokroć w pismach spotykam wzmiarki iz „małorolni odrabiali bogatszym gospodarzom po cztery dni ręcznie za jeden dzień konnej roboty”. czy też, że „biedniejsi z braku nafty na oświetlenie mieszkali kładli się zimą do snu zaraz o zmierzchu”.

Jedno i drugie zawiera w sobie tylko część prawdy, lecz prawdą dokładną nie jest. Odrobek cztery dni ręcznie za jeden dzień konny byłby wyjątkiem w urodzajniejszych czy mniej przeduludionych okolicach. Natomiast normalna „taryfa” było po pięć dni od jednego konia, a osiem od pary. To jednak było jeszcze nie najgorsze, nie najtrudniejszy klin w głowy biedoty. Gorzej bowiem od obowiązującej normy przedstawiała się dla biedoty sama wymiana owej pracy, która wyglądała następująco:

Zazwyczaj późną jesienią wyrównywały się wzajemne należności odrobkowe biedaków i bogaczy. Zimą więc zaczynało się na nowo. Wtedy wiadomo — bogaci tylko mają pracę przy młócie, więc biedniejsi po wiele dni „wywijali” cepami nad swoją duszą” u bogatszych, czy też przy maszynach harowali. Ale gdy przyszła wiosna — gospodarz zawsze pierw sobie obrabiał pole, a odrobek „wisi”. Wtedy biedniejsi odrobkowicze zazwyczaj siali zboże w maju, a ziemniaki sadzili w końcu tego miesiąca, co oczywiście pomniejszało zbiory.

Po wiosennym „skwitowaniu” odrobku nadchodziło pielienie, okopywanie warzyw i siano. Biedacy znów odrabiali naprzód, to znaczy na przyszłą zwózkę zboża, czy orkę jesienią. We wrześniu również. Jednak rzadko kiedy biedak miał z tego „pociechę”, bo gospodarz lepszą porę wykorzystywał dla siebie: odrobkowiczywi przywoził snopki albo po deszczu, albo z rana z rosą, a rzadko w odpowiedniej suchej porze.

Do pozostałej pracy przy żniwie biedacy dorabiali znów jesienią przy koszeniu drugiej koniczyzny i przy młócie zboża. Gospodarze odrabiali za to po ukończeniu robót u siebie. Kopanie zaś ziemniaków odrabiali biedakom nocnym przywożeniem ziemniaków i siewem w końcu października, czy w listopadzie, zamykając roczny obrachunek odrobków.

Oprócz marniejszych zbiorów przez ową zwózkę — ten „roczny obrachunek” rzadko

wydawnictwa popularne literatury nie licząc wznowionej Biblioteki Narodowej (oprócz obu omawianych chodzi tu o trzecie wydawnictwo tego samego typu: „Nowa Biblioteka” „Wiedzy”). Można powtórzyć za głosem Aniela Łempickiej: „Trzy wydawnictwa jednakowe pozycje dzielić będą między tego samego konsumenta. Rzecz jasna, że zapłaci za to konsument. W trzech różnych wydawnictwach koszt książki o nakładzie po 10 000 egz. musi być większy niż w tym samym wydawnictwie o nakładzie trzy razy większym. Z polityką zdobycia jak najszerzego zasięgu czytelników dla książki jest ten stan rzeczy na pewno w kolizji, już nie mówiąc o tym,

„G R O M A D A”

On, jeśli pyta o nowe wiadomości, czyni to w przekonaniu, że nowa wiadomość wyjaśni mu poprzednie, wniesie ład i nada im sens. Na jarmarku, w gminie, u sąsiadów nagadano mu wiele, a koniec końcem pyta zdrowo: **co to wszystko razem znaczy?** Redakcja „Gromady” postawiła sobie za zadanie odpowiedzieć właśnie na to podstawowe, syntetyzujące pytanie chłopca z milionowych rzesz.

Weźmy dla przykładu kolumnę nr 3 „Co słychać w polityce?”. Pierwszy felietonik: „Na czele narodu” — okazją tydzień przyjaźni polsko-węgierskiej. A co w felietoniku? Zyciorysy czterech prezydentów: Węgier, Czechosłowacji, Bułgarii, Polski. Wyrośli z dołów społecznych (chłopów i robotników), walczyli z burżuazją o sprawiedliwość społeczną, zamknięto ich w więzieniach. Taki felietonik mówi dużo, to nie wiadomość, to **logiczna i ideologiczna całość**, to w skrócie odsłonięty związek demokracji ludowych, to przybliżenie chłopu nowego ustroju, nowego rządu, upewnienie o słuszności przemian (nie samistmy) i wywołanie u niego wzruszenia: prezydenci z ludzi prostych (i tam, i tu), tak walczyli za lud, gotowi na ofiary, na więzienie! Drugi felietonik mówi o żądaniu górników francuskich wypuszczenia ich towarzyszy, aresztowanych po głośnym strajku. Trzeci demaskuje moralność francuskich kapitalistów; przykładem wydalenia polskich górników, którzy brali udział w strajku. Po nazwisku wymieniony St. Napieracz, zasłużony we Francji w walce z Niemcami podczas okupacji. Rada Przedmieścia Paryża, liczne delegacje żądały niewydalenia górnika Napieracza. Burżuazja postawiła na swoim. Napieracz wrócił do kraju, pracować dla ojczyzny, w której lud rządzi. Czwarty felietonik: przypomina miniony tydzień polski, z tej okazji mówi o fabryce Bata, jej kapitalistycznej historii i jej obecnej roli w socjalistycznej produkcji. Stąd przybyło do nas kilka milionów par butów. Wreszcie piąty felietonik. „A w Niemczech?” — W zachodniej części Niemiec aresztowano wieloletniego więźnia, komunistę Maksa Reimana. Oburzenie robotników niemieckich i Związku Więźniów Politycznych, którzy mają za sobą tradycję walki z hitleryzmem, wystraszyło władze angielskie — Reiman został wypuszczony.

Przegląd tworzy więc spójną, wymowną całość. Felietoniki dają obraz polityczny Eu-

kiedy był sprawiedliwy. Bo wiadomo, każdy woli siebie, niż kogo i ten „był panem, kto kogo miał za ręką”. Obliczał więc, jak sam chciał, a często nawet wyszukał okazję do zwady z „wierzyicielem” i nakłął się: „Idź, dziadu, do sądu!” Takich wypadków pokrzywdzenia biedoty mógłbym podać dziesiątki, choćby tylko z jednej wsi.

Biedacy narzekali, kłócili się i na tym się kończyło. Do sądu nikt się nie udawał, bo to i grosza nie miał na procesowanie się i nie wierzył w wygraną z bogaczem, bo ten zawsze odgrażał się, że „Choćbym miał 10 razy tyle stracić na adukanta — to stracę, ale ci sie, dziadu, nie dom pokonać”. Więc pokrzywdzony biedak pomstował, odgrażał w duchu zemstą, lecz „mnieki” niebawem i zapominał o swej krzywdzie.

Niejeden zdziwił się, że biedacy mimo takich warunków i stosunków szli zawsze do bogaczy na odrobki. Ale cóż mieli robić? To była przecież konieczność życiowa. „Aby jakimś cudem odrabić za konia” — oto bezustanna myśl biedaka, gdy grosza na najem nie było. I nawet cisnili się biedacy na odrobki, konkurencje sobie robili. Bo nie poszedł jeden — to poszedł drugi. Bogacze przebiegali w robotnikach jak handlarz na targu gęsiami. Toteż pogardzali nimi, przemęczali ich, w czasie pracy karmili maślaną, kwaśnym żurem i jałowymi ziemniakami. I okrzykiwali:

„Zasypianie” biedaków o zmroku, bywało nie tyle z braku nafty na oświetlenie mieszkań, ile obroną od głodu. Biedacy bowiem zazwyczaj zimą jadalі śniadanie o dziesiątej godzinie rano i wieczorem o zachodzie słońca. Potem trzeba było spać, bo po paru godzinach znów by się jeść zachciało. Zwłaszcza dzieci brzęczałyby nieznosnie. A tak „to się wszystko ukłapało z wieczora i łatwiej przetrzymało do rana”. Szeroko przecież znane było wiejskie przysłowie: że „od grudnia słońce za górę, a żur za skórę”.

Bogacze naśmiewali się z takich „spiochów”, nazywając ich „borsukami”. Nawet i wtedy, gdy ojca „spiające rodziny” najmowali do młócki. — „Będzie ci zdrowiej, ozrusz se kóść — drwili — bo to nawet grzech leżeć od zmroku do świtu na tyłochno noc”.

Uradowany biedak był w ręce półtora kija i szedł z ochotą „wywijać nad swoją duszą”.

że w czasie, gdy się powszechnie narzeka na brak pracowników naukowych, zatrudnia się w ten sposób po kilku z nich jednocześnie do popularnego opracowania tej samej pozycji”. Wydawnictwa popularne omówione rzeczowo i krytycznie z punktu widzenia naukowego powinny się doczekać jeszcze szerszych omówień praktycznych na łamach tygodników społeczno-literackich.

Na koniec jedno zdanie żółciowe: skąd tak nieporządny i nieszczęśliwy wybór wierszy w ostatnim numerze „Twórczości”? Do drukowania słabszych i wątpliwych wierszy zmuszone są niekiedy tygodniki literackie, ale przecież nie „Twórczość”.

ropy, sens wypadków, linie społeczne, na jakich one leżą, wagę tych linii. Zaisie jest to **elementarz polityczny**, jaki chłop z milionowych rzesz czytać musi z satysfakcją i przejęciem, ciesząc się jak łatwo go rozumiem. Publicysta — recenzent czyta ten elementarz z niekłamany podziwem. W tym przeglądzie jest bowiem wysiłek pisarski i polityczny, jest szacunek dla chłopca. Wreszcie ktoś z nim **bepośrednio rozmawia, jemu wprost wyjaśnia „politykę”**.

I tu dochodzimy do tytułu pisma. „Gromada” — to nie przypadek. Redakcja znajduje się w Warszawie, ale jak to mówią — „du-szą” — w każdej **gromadzie**. Czytelnikiem ma być drobno- i średniorolny chłop (ten dotąd mniej „edukowany”). Jest to kategoria klasowa. Ona służy za podstawę możliwości uformowania społecznego wsi w **nowy typ gromady**. Dotad była to „parafia”, a w niej prymat plebański-kulacki.

Kolumny „O czym gada gromada” albo „Dobre rady dla gromady” składają się również z felietoników, dających obraz całości dla praktycznych zadań i potrzeb tygodnia na wsi. Są tu sprawy i rady dotyczące chłopów, jako jednostek i jako zbiorowości. Źródło tych spraw i rad jest zawsze społeczne; ustrój Polski Ludowej, rząd. Znow sięgnijmy do przykładów. We wsi Kopice robotnicy hut „Batory” zbudowali w ciągu 15 dni Dom Ludowy, z własnych składek ufundowali radio i bibliotekę z 730 książkami, naprawili kilkanaście maszyn rolniczych w ośrodku, wzięli 6 chłopaków ze wsi do nauki naprawy maszyn, wies zaprosiła na lato 20 dzieci robotników. „Człowiek pomaga człowiekowi”. Zaisie, jest o czym gadać gromadzie. W iluż wsiach mają chłopci znajomości osobiste z robotnikami z fabryk. Kiedyś była to jedyna droga szukania pracy i zacementowania się w mieście u znajomego robotnika. Teraz można masowo odnowić te kontakty, ale już inaczej, w większych, społecznych rozmianach, jak pokazuje czyn robotników z huty „Batory”. Jest o czym gadać w gromadzie. Przykład i pomysł do zastosowania w dziesiątkach odmian. Inny przykład: wieś Chobrzany założyła spółdzielnię zdrowia (965 członków). Będzie stały lekarz i pielęgniarka. Wszystkie te konkrety, zaświadczone realizacją, **bepośrednio zaliczają o chłopca z milionowych rzesz**, jego uczy i rozbudują. Rozbudują w nim pewność siebie, poczucie własnej wartości i wielkich możliwości. Tacy jak on z milionów — **razem w gromadzie — mogą dużo zrobić**.

Postawa Redakcji jest dydaktyczna. Właśnie, mając na uwadze, że z tych milionów wyrosną dopiero działacze, nie pisze o obowiązkach, o zadaniach, o koniecznościach. Pisze o **drzemających w ich czytelnikach możliwościach**. Odsłania im to, co oni **potrafią**, a o czym nie wiedzieli, lub z czego nie śdawali sobie sprawy. Dlatego nawet informację o opłatach za używanie maszyn rolniczych albo o przetwarzaniu przez przemysł zdechłej padliny odsłaniają przed oczami czytającego biedniaka i średniaka tę samą przyjacielską radę — **popatrz, to ty możesz tu skorzystać, to dla ciebie okazja**. Kiedy go przekonują do jakiejś akcji, jak np. do akcji „H”, to włączają się w jego skonkretyzowany tok myślenia gospodarczego. Kontraktowanie hodowlane to po prostu nowy typ kontraktowania. „A czy kontraktowa uprawa buraków nie przyniosła ci, czytelniku, rzetelnego dochodu?”

Redakcja chwyciła kontakt z **chłopem z milionowych rzesz**. Porusza się w świecie jego wiedzy, jego sytuacji społecznej i gospodarczej, jego wysiłków i prób działania na tym etapie w gromadzie. Dlatego i kolumny rozmów z czytelnikami i listów ze wsi będą się bogacić i nabierać na znaczeniu. Pismo będzie gadać i radzić głosami chłopów, tworząc **nowy typ gromady**.

W pracy Redakcji widać wiarę i szacunek dla chłopca z milionowych rzesz. Nie poucza, a pomaga mu ona uczyć się, uczyć wzajemnie w gromadzie, na całej ziemi polskiej, pomaga twórczo działać w jego konkretnych sytuacjach społecznych.

Wydaje mi się, że dla domknięcia tak pomyslanego pisma, cztery ilustracyjne strony należałoby utrzymać przy każdym numerze i wykrzyszczać je najpełniej. Tu powinien być przegląd polityczny świata i Polski (fotograficzny), przegląd spraw i osiągnięć wsi, pracy i działań klasy robotniczej, przegląd krajów demokracji ludowych, wreszcie na ostatniej stronie (tak, jak w wyborze poezji) wybór pejzażu czy portretu z malarstwa, stanowiący reprodukcję barwną, wypełniającą całą stronę, abv można było ją zawiesić na ścianie lub składać w album. W ciągu roku można zgromadzić bogaty wybór, jaki ideologicznie i artystycznie bardzo rozwinałby chłopca z milionowych rzesz. Utrwaliłby się na ścianach mieszkań, w szkole, świetlicy, spółdzielni w albumach.

Dwa światy na jednym świecie

W ostatnich tygodniach odbywały się we Francji narady przebywających tam Polaków różnych ugrupowań politycznych. Polski świat pracy obradował na plenum Rady Narodowej Polaków we Francji. Spodziewano się najwyżej 200 delegatów. Tymczasem przybyło ponad 300. Przeszło 100 mówców zabierało głos w sprawie powrotu do Polski i pracy przy jej odbudowie, dokształceniu nauczycieli i ich społecznej postawie, koloniach dla dzieci, solidarności z proletariatem francuskim, walczącym przeciw gospodarce i politycznej ekspansji USA.

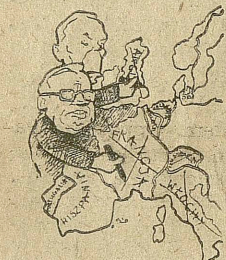
Równocześnie odbywały się obrady innych organizacji wychodźstwa polskiego, którym patronował „rząd londyński” i jego marnotrawny syn — Mikołajczyk. O czym tam mówiono? Że emigracja londyńska nie służy żadnym obcym interesom. I co jeszcze? Żeby nie wracać do kraju, nie pomagać w jego odbudowie, nie solidaryzować się z proletariatem francuskim, walczącym przeciw inwazji gospodarczej i politycznej Anglo-amerykan. Specjalną część obrad stanowiły wzajemne posadzenia o defraudację, rozmaitego typu szwindle, finansowe i polityczne.

Jak myślicie, skąd się biorą pieniądze, o które tak walczą między sobą wodzowie emigracji londyńskiej? Mikołajczyk uruchomił ostatnio „żelazny kapitał” — 2.500.000 dolarów, które zostawił na czarną godzinę w Szwajcarii, kiedy jechał „rządzić” w Polsce. To jest prawda. A te pieniądze otrzymał od agentów amerykańskiego wywiadu na tworzenie armii podziemnej w kraju. To także prawda. Zdradzili ją londyńscy „ludowcy” p. Kuncewicz na łamach swego pisma („Za wolność i lud”, styczeń 1949).

Radzie Narodowej Polaków we Francji przybywają nowi działacze demokratyczni, Mikołajczykowski — udziałowcy w procentach odrzuconych przez wielki kapitał — tym, którzy nie służą żadnym obcym interesom.

p. p.

Burżuazyjne tendencje narodów



Jak wiadomo rady zachodnio-europejskie i Stany Zjednoczone głoszą hasła federacji europejskiej. Oczywiście pod egidą Ameryki i Anglii. I oczywiście skierowanej przeciwko pokojowi, demokracji i niezależności narodowej. Posłuchajmy, co mówi twórca tej koncepcji. Deklaracja przyjęta na konferencji brukselskiej tzw. „ruchu europejskiego” rozpoczyna się znanymi słowami: „W świecie, w którym panują zderzenia polityczne i ekonomiczne o zakresie kontynentalnym, narody europejskie nie mogą się ludzi nadzieją, że utrzymają się jako jednostki niezależne ekonomicznie i politycznie”. Rozbrajająca szczerzość. Niezależność narodów, zdaniem europejskich federalistów, jest tylko złuda.

W takim razie po co organizuje się te „federacje”?

19 lutego 1949 r. Bevin oświadczył wyraźnie, „że bez ścisłej współpracy krajów zachodniej Europy — kraje te zostaną ogarnięte przez strajki, chaos i komunizm”.

Powiedział to — trzeba pamiętać — „sojalista”. A więc federacja ma na celu zdławienie ruchów robotniczo-demokratycznych.

Kto zaś będzie tej federacji przewodził?

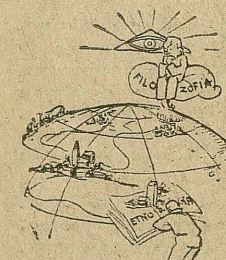
Jeden z czołowych przywódców Holenderskiej Partii Pracy — obnażył i tę prawdę „Ameryka — powiedział — jest wyłącznym gwarantem przeciwko światowemu bolszewizmowi”.

Teraz wszystko jest już jasne. Ameryka na czele federacji europejskiej, przy pełnym poparciu tzw. „sojalistów” zachodnio-europejskich — będzie dążyć i ciemiężyć narody i ruchy demokratyczne w Zachodniej Europie. Szczere wyznanie prawdy jest też coś warte.

N. N.

Studenci i problematyka społeczna

Otrzymałmy od jednego z korespondentów, studenta Uniwersytetu w Poznaniu, list, w którym autor krytykuje ostro nowy projekt organizacji kół naukowych na wyższych uczelniach, opracowany przez Wydział Naukowy Federacji Polskich Organizacji Studenckich. Autor m. in. pisze: „ten nowy projekt, który niby centralizuje działalność poszczególnych kół na Wydziałach — w istocie likwiduje istniejące i mające nieraz duży dorobek naukowy kół. Bo co mają wspólnego z sobą student filozofii ze studentem etnologii? Jak pogodzić ich zainteresowania praktyczne?”



FAKTY i ZDANIA

Jest tam jeszcze wiele innych zarzutów, których nie będziemy powtarzać. Słyszysz się je często — zwłaszcza wśród pewnej grupy studentów, związanej bezpośrednio z kołami mówiąc łagodnie „niechętnymi” dzisiejszej rzeczywistości. Bo o co chodzi? Nowy projekt nie likwiduje — jak pisze w najnowszym numerze „Po prostu” S. Zawadzki — kół naukowych, ale wprost przeciwnie reorganizuje je i uaktywnia.

Okazuje się — pisze S. Zawadzki, że „filozof ma bardzo wiele wspólnego z historykiem, a etnolog z filologiem... że oprócz wspólnej metody badawczej, opartej na świątopoglądzie naukowym, wszystkich humanistów łączy jeszcze więź w postaci przyszłej pracy zawodowej. Jest bowiem rzeczą jasną, że studenci wydziałów humanistycznych czy matematyczno-przyrodniczych — to przyszli nauczyciele, pracownicy nauki i kultury, że problematyka społeczno-zawodowa jest dla nich wszystkich wspólna.

Również konieczność powiązania nauki z konkretną pracą społeczną świadczy, że i ta dziedzina pracy koła naukowego jest wspólna dla studentów całego wydziału”.

Powstanie jednego Koła Wydziałowego z pewnością przyniesie ożywienie zamierających niestety — niektórych kół „sekcji naukowych” na niektórych uniwersytetach.

k. m.

Gmina, czy parafia?

W dniu 20 lutego 1949 r. w gromadzie Leśna gm. Dolek pow. skierniewickiego odbywało się zebranie, które zwołał ob. Soltys gromady, a trzeba zaznaczyć, że ob. Soltys jest człowiekiem postępowym, dużo czyta i udziela się w życiu społecznym i politycznym.

Na to zebranie przyniósł jeden z gospodarzy kartkę od księdza proboszcza, parafii Jeruzal, ażeby ob. Soltys gromady Leśna ogłosił ludziom swej gromady, że w dniu 26, 27 i 28 lutego odbędzie się rekolekcje i spowiedź wielkanocna. Soltys odpowiedział temu gospodarzowi: „Ja sługa księdza nie jestem a tylko najniższym urzędnikiem we wsi, a ksiądz ma ambonę i na kazaniu niech takie rzeczy ogłasza”. Po takiej odpowiedzi Soltys wywiał z dyskusji między ludźmi gromady. I coż można było założyć z tej dyskusji? A to, że starym babciom i ludziom ciemnym, którzy nie czytają i nigdy żadnej książki ani gazety do ręki nie biorą — odpowiedź Soltysa się nie podobala, a reszta ludzi, którzy myślą, czytają prasę i są czynni społecznie — przyznała słuszność Soltysowi.

I dziwić się mocno, czy naprawdę Soltys jest i urzędnikiem księdza? Bo jeżeli nie, to dlaczego ksiądz wysyła takie pisma do Soltysa w sprawie religii i spowiedzi?

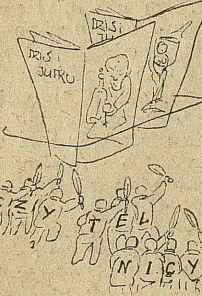
Ale naszego księdza to nie obchodzi, że Soltys jest nie do spraw wiary; widac myśli, że to są jeszcze dawniejsze rzady w Polsce, że gromada jest na usługach kleru. Spójnił się o ładne parę lat.

„Cień”

„Czytelnik uważa że”...

Na ostatniej stronie tygodnika społecznego „Dziś i Jutro” wypowiadają się czytelnicy tego pisma na rozmaite tematy, m. in. oceniają zawartość poszczególnych numerów.

Posłuchajmy, co pisze w 10 numerze czytelnicy „Dziś i Jutro”. Najpierw — poezja i proza. „Proszę mi nie brać za złe, że muszę skrytykować bajeczkę w nr. 8 „Dziś i Jutro”. Podobne brednie mógłby napisać nihilista moralny, pod działaniem oparów bimbru, gdyby wyobraźnia jego poszybowała w rejony przewrotnej erotomanii”. Tak ocenia p. E. M. twórczość literacką p. Kononowicza. Czytajmy dalej: „W takim „Co tydzień powieść” wszystko byłoby w porządku... podobnie w „Przekroju”, czy innym magazynie — lecz po co się drukuje sensacyjno-awanturnicze ramoty w „Dziś i Jutro” — tego daleko, powtarzam raz jeszcze, nie rozumiem”.



Tak ocenia prozę B. Arcta, czytelnik „Dziś i Jutro” — Józef Błażejczak.

W sprawie artykułów ideologicznych wypowiada się p. St. Czerwiński i stwierdza, oceniając pracę p. St. Zajęczniewskiego — „Etap humanizmu katolickiego”, że jest ona niezgodna „z katolickim punktem widzenia”.

O krytyce literackiej pisze p. J. Meysztowicz, że przyszło mu „na myśl, że gdyby jakiś bogacz zechciał ufundować puchar dla rekordzisty w pisaniu głupstw ze swadą, lecz bez talentu, bez prawdziwej wiedzy, w dobrej wierze, lecz w złym stylu — to pan Z. Jakimiak miałby wszelkie szanse zwycięsko się o taki puchar ubiegać”. A p. A. Kaczyński dodaje pod adresem czołowego krytyka „Dziś i Jutro”, że pisze apodyktyczne bzdury i uprawia zaściankowy patriotyzm.

I to wszystko głosi z jednego tylko numeru. Poezja pisana jak „pod alkoholem”, proza jak „Co tydzień powieść”, artykuły ideologiczne wypożyczane z innego obozu, a krytyka literacka bez talentu i bez wiedzy broni zaścianka. Niedobrze, bo jak tak jest dziś, to co będzie jutro? Bo np. p. Jakimiak jak pisał, tak pisze.

J. S.

Nie odkładaj na jutro...

Jednym z najważniejszych wydarzeń bieżącej polityki wewnętrznej była deklaracja rządu, regulująca stosunek państwa do Kościoła. W całym kraju, po wsiach i miastach, fabrykach i biurach, odbywają się masowe wiece ludności solidaryzującej się z polityką rządu.

Oświadczenia i uchwały robotników i chłopów mówią o całkowitej swobodzie, jaką Rząd otacza wyznania religijne, ale żądają także, aby zgodnie z interesem narodowym i państwowym, w imię dobra ogółu, władze duchowne zaniechały wiązania się z siłami antyludowymi, unormowały stosunki z państwem na podstawie oświadczenia rządowego.

Dotychczas (upływa tydzień od ogłoszenia deklaracji rządowej) brak jest jeszcze oficjalnego głosu ze strony Kościoła katolickiego. Być może, że za wcześnie jest jeszcze na... powzięcie decyzji.

Milczy także „Tygodnik Powszechny” — organ bądź co bądź, pretendujący do wpływania na opinie katolicką część Polski, a nie tylko diecezji krakowskiej. Najnowszy numer „Tyg. Powszechnego”, datowany 27 marca, nie zawiera o tym żadnej wzmianki, nawet w notach. Być może, że oddany został do druku przed ogłoszeniem deklaracji rządowej. Ano, czekajmy. Dobrzeby było, żeby ów głos dał się usłyszeć. Czekają na niego katolicy i nie katolicy.

zet.

Czy ten typ recenzji?

Przeciętny czytelnik gazet, który nie ma warunków na śledzenie pism społeczno-literackich, bierze ze specjalnym zainteresowaniem do ręki niedzielny numer czytany przez siebie dziennika ze względu właśnie na dodatki literackie — tygodniową pożywkę kulturalną, niejednokrotnie jedyny dla niego środek informacji o tym, co dzieje się w bieżącym życiu kulturalnym.

W „Panoramie” z dnia 13 marca br. — w dodatku „Dziennika Łódzkiego” — znajdujemy recenzję M. Zaborowskiego o „Wzłach życia” Zofii Nałkowskiej. Recenzja jest upleciona ze zdań, w których nadużywa się terminologii podebranej z artykułów poważnej prasy literackiej. Tam ta terminologia jest obudowana, nie strzela się nią jak rakietami dla popisu. Użyta w artykule przeznaczonym dla czytelnika mniej zorientowanego w problematyce literackiej sprawia wrażenie bezsensownego belkotu. Oto kilka przykładów:

1) „... „Wzły Życia”, w których aspołeczne stanowisko autorki, prowadzone do skrzywienia perspektywy społecznej zostało w pełni wyrażone. (Nie wiemy na czym ma polegać „aspołeczne” stanowisko autorki, czy na tym, że skrzywiła „perspektywę społeczną”?)

2) „Z tej postawy twórczej wywodzi się społecznie uwarunkowany człowiek Nałkowskiej”. (Ma to wynikać z przesłanki Sandaui, że „autorka opływa tylko zdarzenia, lecz nie wkracza w nie swoim osadem”. Co ma społecznie uwarunkowanie człowieka z techniką literacką?)

3) „Nałkowska jednak nie interesuje prawdopodobieństwo opisywanych przez nią zjawisk. Dla niej nie jest ważne, że ludzie, o któ-

rych się pisze są zawieszani w historycznej próżni”.

Dowiedzieliśmy się rewelacji o autorce „Granic” i „Medalionów”.

Jest „aspołeczna”, „nie interesuje ją prawdopodobieństwo opisywanych przez nią zjawisk”, jako pisarz robi wszystko, aby zawiesić swoich bohaterów w „próżni historycznej”.

Ten typ recenzji dostaje się może do rąk czytelnika, który się jeszcze nie zetknął z twórczością autorki, który mało w ogóle wie o literaturze, czytelnika, który ma prawo ufać chyba recenzentowi. O niesłychanym szkodziństwie, jakie dla kultury czytelniczej wywiera tego rodzaju robota nie potrzeba chyba mówić. Redaktorów dodatków literackich należałoby prosić o więcej czujności, a recenzentów początkujących o więcej skromności i niepowoływanie się w nieudolnej i szkodliwej robocie na nazwiska poważnych krytyków, których narzędziami nie umieją operować.

Czytelnik z Grójca.

O nowego nauczyciela

Godnym uwagi jest krótki artykuł W. Wojtyńskiego w 2 numerze „Życia szkoły” („Nie rosną siły, którym się nie stawia zadań”), w którym autor sygnalizuje konieczność podjęcia walki z założeniami burżuazyjnej dydaktyki, pedagogiki i psychologii, holdującej idealizmowi i indywidualizmowi (Dewcy, Kerschensteiner, Petersen, Hessen, Nawroczyński, Freud, Adler i in.). „Jakkolwiek trzeba i należy zużytkować po kulturze kapitalistycznej w sposób umiejętny i celowy, zgodny z zasadą materializmu dialektycznego, spadek myśli postępowej i wszystkie pozytywne zdobycze w zakresie pracy i życia szkoły — czytamy w artykule W. Wojtyńskiego — to jednak oddać się nam stanowczo trzeba od reakcyjnych założeń burżuazyjnej pedagogiki i psychologii, poddając je krytycznej analizie marksistowskiej. Trzeba podciąć ich korzenie w umysłach szerokich kół naszych koleżanek i kolegów”.

Konieczne jest w tym celu podjęcie szerokiej akcji wydawniczej czasopiśmienniczej i książkowej (zwłaszcza tłumaczenia wybitnych pedagogów i psychologów radzieckich jak Gonczarowa, Medynskiego, Rubinstein i in.), konieczna jest także planowa akcja szkoleniowa ZNP, większy nacisk położony na konferencje rejonowe nauczycieli, ośrodki dydaktyczno-naukowe i wreszcie „co najważniejsze i najbardziej realne, świadoma i planowa praca całego grona nauczycielskiego w obrębie szkolnych rad pedagogicznych”.

Przez podjęcie tej akcji (szkolenia ideowo-politycznego) ZNP spełni jedno z najważniejszych i najpilniejszych zadań: przyczyni się do zmiany postawy nauczyciela, na którym ciąży jeszcze skutki życia i pracy w wieżach ustroju kapitalistycznego.

t. p.

Przez pismo do biblioteki

W związku z listem dzieci ze szkoły w Potulicach, ogłoszonym w 12 numerze tyg. „Wieś” w sprawie bibliotek szkolnych, jak również listem studentki UL w tej samej sprawie, który ukazał się w 13 numerze „Wsi”, proponuję jeszcze jedną akcję, która by mogła (częściowo przynajmniej) rozwiązać sprawę bibliotek w niektórych szkołach.

Zamiast zbierania szyszek (po co było sprzedawać szyszki — jako surowiec, można było przerobić je na zabawki i sprzedać daleko korzystniej), poszczególnie szkoły, dotknięte najboleśniej głodem książkowym, mogłyby zaofiarować redakcjom pism społeczno-literackich, poważniejszych pism politycznych, swoją pomoc w kolportażu i zdobywaniu nowych prenumeratorów. Konkretnie: za zdobycie 10—15 prenumeratorów na terenie wsi lub gminy — 15 lub 20 książek.

Myślę, że młodzież ze starszych klas szkoły podstawowej, a nawet nie tylko podstawowej, łącząc akcję kolportażową pism ze sprawą bibliotek mogłaby liczyć na poważne osiągnięcia swojej pracy.

Można by tę akcję jakoś przemysleć, wciągnąć do współpracy i pomocy koła ZMP i w ten sposób najdogodniej pracować społecznie, rozwijając przy okazji, choćby częściowo — problem kolportażu kultury.

Odwrotnie, myślę, że redakcje w porozumieniu z poszczególnymi wydawnictwami, chętnie poszłyby na taką formę współpracy. Oczywiście, rośnie z każdym dniem sieć bibliotek gminnych, powstają nowe świetlice, aktywizują się koła ZMP, postępuje organizacja kultury na prowincji — niemniej akcja, którą proponuję — nie jest i nie będzie akcją zbędną, ponieważ wprowadzenie młodzieży do akcji kolportażu kultury, z samej istoty będzie miało trwały charakter.

Stały czytelnik

Redaktor naczelny — JAN ALEKSANDER KRÓL.

Redaguje Komitet.

Adres Redakcji i Administracji: Łódź, ul. Piotrkowska Nr 133, telefon 100-98.

Wydawca: ZARZĄD GŁÓWNY ZWIĄZKU SAMOPOMOCY CHŁOPSKIEJ. REDAKCJA REKOPISÓW NIE ZWRACA.

Ogłoszenia przyjmuje Administracja — Łódź, Piotrkowska 133, telefon 100-98.

Warunki prenumeraty: miesięcznie 80.— zł; kwartalnie 240.— zł; półrocznie 480.— zł; rocznie 960.— zł.

Należność za prenumeratę należy wpłacić na konto PKO ŁÓDŹ VII—1080.

Drukarnia Nr 4 Sp. Wydawniczo-Oświatowej „Czytelnik” — Łódź, ul. Żwirki 2.

D—036057.

Przypominamy

o wpłaceniu zaległej
prenumeraty

Administracja